



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

We mnie jest moc płomieni.

Molto con fuoco. (Fr. Chopin. Op. 25. № 12).



Burza. Lecą już, lecą groźne jej zwiastuny,
Krwawe żniże błyskawic i złote pioruny.

Kłęby chmur, gromowymi rumienione świty,
Zapadają kaskadą czarną i czerwoną
W przepaść i o podwodne łamią się granity.
Morze aż do dna czarne pokazuje łono;
I znów kipiąca struga piersi mu zakrywa,
I znów się wzdęta fala z ciemną chmurą styka.
Błądzi po nad otchłanią rybitwa krzykliwa,
Tysiącem głosów rośnie pieśń orkanu dzika.
Ryk zwichrzonych odmetów; huraganów świsty;
Żywiły się zlewają w jeden łoskot grzmotny;
Huczy cały horyzont, w ogniach, przepaścisty.

Na stromych krańcach ładu stań zemną samotny,
Oparty o pień lauru, i patrzaj bez trwogi
Na walkę dwu tytanów. Drży w posadach skała;
Potęgą zielonego morza, rozszalała,
Coraz wyżej się wspina na skaliste proggi.

Ponad nią drugie morze z wichrów i płomieni
Gnie się, ryczy i pryska i topi się w wiry,
Miota nimi o skałę, a te—od kamieni
Odepchnięte—na grzmiące wracają szafiry.

Hej, moce żywiołowe! Czem jest wasza władza
W porównaniu z olbrzymią natchnienia potęgą,
Którym młodość nam duszę pali i rozsada,
Wszechświat objąć pozwala jedną myśli wstęgą
I duchem nad plejadą gwiazd panować każel
Jej pieśni potężniejsze, jej walki gorętsze.
Na waszych głowach wznosi zapal swe ołtarze!
Potopy górskich lawin, i kraterów wnętrze,
I ocean ramieniem burz rozkołysany,
I płonących eterów błyski, i orkany
Wrzawą napelniające nadskalne kruzganki,
I wichry,—choć się wszystkie zerwą, rykną, wścieką,
Mdleją wobec natchnienia, gdy przełamie szranki
I pod niebo wylata płomienistą rzeką!

O ty, co byłbyś gotów wnieść się tak wysoko,
Jak ja wzlatam, owiany gromów girlandami,
Bądź spokojny. Tam gminne nie znajdzie się oko,
Tam, w zamieci błyskawic, bylibyśmy sami.

Tam musiałbyś zapalu ramieniem skrzydlatem
Podążyć w dal, przykuty do smętnego toru,
Którym duch nasz przeleci w wieczność ponad światem,
Błyszcząc dyamentowym blaskiem meteoru.

Lecz straszna to żegluga na tęczowym wietrze,
Kędy ziemia, jak widmo bieleje gdzieś na dnie.
Jeśli wzrok Wszechpiękności na lica nam padnie,
Może ten chaotyczny wzrok na proch nas zetrze,

Może własne porywy serca nasze spala.
Widzisz burzę? po niebie krwią piorunów złotem
Przewalają się chmury pożarne z loskotem,
Rozkielzany huragan pastwi się nad falą
I czyni z niej omdlałą gwałtu niewolnicę.
Patrz tam! Chmurę rozdziera piorunowa żmija:
I my możemy spotkać taką błyskawicę,
Co z eterów piorunem spada—i zabija.

A więc, nim pierś otworzysz i wyjmiesz z niej serce,
Mówiąc: gwiazdom oddaję płomień tego serca,
Pomyśl. Bo świat ci drogę zastąpi szyderca,
Bo żyć z nim odtąd będziesz w śmiertelnej rozterce,
I pomyśl, że z tej drogi już nie ma powrotu.

Droga to pełna ofiar, walk, złudzeń, przestraszonych
I gromów wielkich myśli, wśród ciągłego grzmotu
Gruzem rozsypujących się nadziei gmachów.
Moc tego lotu chyżej podobna lawinie,
Która wprzód w niedosiężnych wysokościach drzemie,
Jak perła na błękitnym szczytów dyademie;
Ale gdy blask gorący słońca ją opłynie,
Świetny dyadem z hukiem kruszy się na ćwierci,
Z poza pereł się ciemne czoło gór wychyla,
A perły w przepaść lecą kaskadami śmierci.

Droga moja jest drogą złotego motyla
W alei białych róż, co niezerwane wędną;
Droga moja jest drogą wulkanicznej lawy,
Gdy kwitnącym ogrodem pogrzeb daje krwawy,
Lot mój jest błędnym lotem za gwiazdą obłądną,
Lot mój jest huragannym lotem albatrosa—

Przemierz siły i zrywaj, czy ci one starczą
Ocean cały przebyć i całe niebiosy;
Czy przed gwałtem nawałnic lęk cię nie ogarnie,
Gdy koło twoich skroni pioruny zawarczą;
Czy możesz w twarz słońca wzrok podnieść bezkarnie,
Czy tchu ci nie zabraknie, skoro cię owionie
Żar namiętych uniesień...

W błyskawic koronie
Pasują się żywioły. Burza. Okręt czeka.
O, zapomnij, że droga ciężka i daleka,
Na sąd świata nie zważaj, przyszłości nie badaj,
Wzywam! Jeżeli jaki jesteś, odpowiadaj.

„Leon Płoszowski.”

Lussino.

KOBIETA-INŻYNIER

w XVII-ym wieku.

Pewna książeczka, wydana w r. 1640 w Paryżu, ale będąca prawdziwą rzadkością bibliograficzną, którą odszukał jeden z literatów francuzkich (p. d'Estrée) w Bibliotece narodowej, dostarcza nam ciekawych niezmiernie szczegółów o działalności i, rzec można, genialnej przedsiębiorczości kobiety, która w XVII wieku, mimo rozmaitych przeszkód, usiłowała kraj swój obdarzyć niewyczerpanym źródłem bogactw. Smutny los jej i przesładowanie, jakim zapłacono szlachetne jej wysiłki, odemściły się na niewdzięcznym społeczeństwie, pozbawiając je na parę wieków przynajmniej skarbów, które stopniowo stają się zdobyczą szczęśliwszych od naszej bohaterki pracowników,

Nie mamy żadnych szczegółów o rodzinie i dzieciństwie urodzonej ku końcowi szesnastego stulecia Martynty de Bertereau, która poślubiwszy Jana du Chasteler barona de Beausoleil, przedstawiciela jednego z najznakomitszych rodów w Brabancji, poświęciła się badaniu górniczych zasobów ziemi i wraz z mężem odbywała przez lat trzydzieści podróże naukowe po całej nieledwie Europie i Ameryce. Zkąd ta uczona para zaczerpnęła umiejętność badań geologicznych, niewiadomo, dość że dzięki ich niezmordowanym usiłowaniom i nieomylnym wskazówkom, powstały najrozmaitsze kopalnie w Niemczech, Szwecji, Hiszpanii, Szkocji, we Włoszech, Węgrzech, Czechach, w Tyrolu, na Szląsku, — słowem w rozmaitych świata stronach.

Z memoryału podanego przez Martę Bertereau ministrowi Richelieu we Francji, dowiadujemy się, jak dzielna ta kobieta, towarzysząc mężowi i z nim razem prowadząc poszukiwania, zwiedziła kopalnie w Potozi i wiele innych. Marzeniem jej jednak było uszczęśliwić i wzbogacić kraj swój rodzinny, gdzie ją właśnie największe spotykały przeszkody. Już w r. 1626, za panowania Henryka IV, zjawia się Marta na czas krótki we Francji, gdzie od kontrolera kopalń królewskich Beringhena (piastującego zarazem godność

pierwszego pokojowca Jego Królewskiej Mości) otrzymuje dla męża swego zlecenie (commission) badania i urzędzenia tychże kopalni, dotychczas w zaniedbaniu będących. W 1630 jednak roku dopiero mogła skłonić męża do opuszczenia wysokiego stanowiska, jakie zajmował w Niemczech (będąc komisarzem generalnym i radcą przy kopalniach węgierskich). Jakoż, zostawiwszy syna na czele robót górniczych, zleconych mu przez cesarza Ferdynanda II, wyruszył baron de Beausoleil wraz z żoną do Francji, zabrawszy kilkudziesięciu górników niemieckich i węgierskich ze sobą. Odtąd przez lat dziewięć oboje małżonkowie razem lub każde z osobna zwiedzają południowe, środkowe i zachodnie okolice Francji, badając grunt w górach i dolinach, po lasach i rzekach, jak to szczegółowo opisuje Martyna. W roku 1634 marszałek de la Meilleraye udziela baronowi koncesyi, a raczej powierza mu inspekcję generalną nad wszystkimi kopalniami w kraju, co się opłaciło natychmiast, gdyż w podróżach swych przedsiębiorcza para wykryła tajemne eksploataowanie nadgranicznych kopalń przez cudzoziemców, którzy zdobyli swoją nocami przekradali ze szkodą skarbu państwa

Dotychczas państwo de Beausoleil wydali z własnej kieszeni około 300,000 liwrow na podróże i badania gruntu we Francji i nic dziwnego, że oczekiwali z niecierpliwością nadania sobie królewskiego przywileju i uprawnienia prac zaczątych na tak wielką skalę.

Ale właśnie w chwili, kiedy zajęci byli oboje w Bretanii, mąż badaniem lasu, żona uprawianiem dyplomów przez parlament wydanych w mieście Rennes, spadła na nich niespodziana kłeska. Oto agent ministra Richeliéu, sprawujący urząd prefekta (prevôt) w Bretanii, a przykre noszący nazwisko La Touche Grippé, wpadł zniechęca do mieszkania inżynierskiej pary w Morlaix i zabrawszy ich gotówkę, papiery, przyrzędy naukowe i górnicze narzędzia, wytoczył obojgu proces o... czary i magią!

Wtenczas to z całym oburzeniem i zapalem, do jakiego zdolną była dzielna Martyna, zabrała się ona do obrony i niewiele myśląc, zwróciła się wprost do wszechwładnego ministra, podając mu swój memoryał, a raczej obszerną biografię swoją i opis prac, dokonanych na wspólnie z mężem. Mimo dziwaczności tytułu dziełka tego (La Restitution de Pluton à Mgr. l'Eminentissime etc. etc.) i trudnej do pojęcia mieszczaniny wiadomo-

ści naukowych z przesądami panującymi wówczas, jak np. wiara w istnienie podziemnych gnomów i karzełek, albo w działanie różdżek wskazujących ukryte w ziemi źródła lub metale, niepodobna czytać obojętnie tego protestu kobiety szlachetnej, wytrwałej, a nieustraszonej przeciw ciemności i niesprawiedliwości ludzi pragnących zniweczyć pracę i wysiłki całego jej życia...

„Dziś Bóg mię posyła do Waszej Eminencji—pisze Martyna, — by mu otworzyć oczy, i za pośrednictwem słabej kobiety, jak niegdyś Joanny d'Arc, dokonać swych wielkich zamiarów.“ — I opowiada, jakie to nieznanne dotąd skarby udało jej się wynaleźć w łonie ziemi, dopomina się gorąco, by nie odrzucano tak ważnych odkryć dla tego tylko, że ich w znacznej części dokonała kobieta, przytacza nazwiska dzielnych niewiast, wsławionych przedtem już mądrością, odwagą wojenną lub sztuką i wiedzą. W imię tej wiedzy walczy, dowodząc, że to nie żadna magia, ani moc szatańska, ale biegłość i praca doprowadziła ją, zamiłowaną inżynierkę, do tych wynalazków, któremi pragnie wzbogacić ojczyznę swoją. I tu rozwija cały system eksploatacji skarbów górniczych we Francji, które użyte należą na wytępienie w kraju nędzy, włóczęgostwa i żebractwa. Szlachetna inżynierka, wskazawszy jakim źródłem dochodu stać się mogą nagromadzone w ziemi zapasy żelaza, dającego się przerabiać na wyborną stal, — dopomina się, by używszy część tych dochodów na potrzeby armii i zwiększenie marynarki (a wiedziała dobrze, jak się o tę ostatnią troszczył kardynał, noszący tytuł wielkiego admirała), obrócić resztę na fundacye dobroczynne. I wyprzedzając wiek społeczesny rozumnie pojętą filantropią, podaje projekty domów pracy dla żebraków, starców i dzieci opuszczonych, namawia do tworzenia przytułków dla kalek i nieuleczalnych, a nawet doradza, by uboższą młodzież szlachecką zachęcać do wyjazdu zagranicę i zakładania przedsiębiorstw kolonialnych, zamiast żeby mieli, jak słusznie powiada: „biegać po całych dniach na polowanie, albo krzywdzić lud biedny...“ Oprócz tego proponuje mądra pani Marta utworzenie w Paryżu generalnej inspekcji nad kopalniami w całym kraju, oraz ukonstytuowanie całego korpusu inżynierów, działających pod zarządem tejże inspekcji.

Słowem, nic nie zaniedbuje energiczna i rozumna ta kobieta, by obudzić działalność rządu

i skierować ją w dziedziny dla kraju najużyteczniejsze. A umie bronić wymownie swej sprawy; ba, nawet schlebując upodobaniom ministra, dodaje do memoriału swego — *sonet*, podnoszący zasługi jego dla tej Francji, „królowej narodów świata.“ Przypomina też, jak to niegdyś Kolumb dla tego tylko, że występował skromnie, w ubogiej odzieży, nie doznał poparcia, kiedy nowe światy odkryć obiecywał. Czyż i Francya ma być tak zaślepiona — pyta — żeby odmawiać ufności osobie jakiejś dla tego, że ta niepocześnie wygląda? Nie, ona nie ustąpi i dowiedzie faktami, że tyloletnie prace, badania i wysiłki nie są mrzonką lub złudzeniem. I tu następuje wyliczenie bogactw, ukrytych w ziemi rozmaitych okolic Francji południowej, zachodniej i środkowej, więc: metale rozmaite, węgiel, gips, torf, marmur, a nawet złoto (w hrabstwie Foix). Dodać tu musimy, że w następstwie sprawdziły się wszystkie prawie twierdzenia naszej inżynierki i dziś nawet okolice przez nią wyróżnione stają się źródłem bogactwa dla umiejętności przedsiębiorców. Piasek złoty dobywano do niedawna w Ariège, a słynne kopalnie węgla w Carmaux nie są zapewne czem innym, jak owo przez Martę wymienione Crémaux. A jednak podówczas głos dzielnej niewiasty przebrzmiał bez skutku, ona zaś sama wraz z mężem padła ofiarą szkaradnej intrygi. Daremnie w memoryale swym dowiesć usiłuje, że prawdziwy uczony (*un vrai philosophe*) bez pomocy szatana dokonać może odkryć i wynalazków rozmaitych, daremnie wspomina o wpływie planet i prądów magnetycznych, napróżno woła w szlachetnym oburzeniu, że „O zgrozo! we Francji ci właśnie, co powinni innym wskazywać sprawiedliwość i strzedz takowej, sami ją gwałcą i depeją.“ Wszechwładny minister, do którego udała się z całą ufnością bohaterka, zamiast ją zrozumieć i poprzeć, dozwała, kto wie? może nawet każe agentowi swemu, owemu intrygantowi La Touche Grippé więzić i prześladować ludzi, którzy kosztem własnym, z poświęceniem czasu i mienia, chcą wzbogacić kraj i naród cały.

Rzecz dziwna, trudna do uwierzenia, ale ów Richelieu, mądry polityk i bystry dostrzegacz zawilosci dyplomatycznych, zdaje się podzielać najnierozsądniejsze uprzedzenia i zabobony swych podwładnych. Czy to był wstręt do wszystkiego, co się wybija ponad mierność i dąży do wolności i przewagi ducha, czy zaślepienie fanatyczne co do niektórych gałęzi wiedzy, dość że potężny kardynał zdawał się wierzyć w magię i czary. Pod tym pozorem, przynajmniej, skazał niegdyś na śmierć wolnomyślnego księdza Urbana Grandier (w 1634), tak obecnie zezwała na prowadzenie procesu, oskarżającego o czary Martynę i jej męża, barona de Beausoleil. Prawda, że biedna nasza inżynierka w zapałę, broniąc myślicieli, zwanych mylnie czarownikami, woła: „Jeżeli tacy są czarownicy, to nie trzeba ich przesładować i uważać za zakalę społeczeństwa, ale raczej wspierać ich, otaczać opieką i okazywać im wdzięczność, gdyż bez nich świat byłby pozbawionym mnóstwa wygod i bogactw, które Bóg przez ich ręce zlewa na ludzką...“

Może tu właśnie ozwały się „nożyce“ i obrażony minister wywarł swą zemstę na śmiarków, podających w wątpliwą nieomylną jego wyroki, — dość że dzielna autorka memoriału została uwięziona pod zarzutem czarnoksiężstwa i wtrąconą do Vincennes, gdzie odtąd ginie bez śladu, jedyną zaś po niej pamiatką zostaje owa książeczka, z której w półtrzecim wieku po uprzątnieniu ze świata jej autorki, odzywa się do nas głos prawdy i szlachetnego zapału. Mąż Martyny, Jan du Chastelet (czy Chasteler) baron de Beausoleil, uwięziony także jako czarownik, umiera w Bastylii roku 1645. Książeczka nawet, z której czerpiemy wiadomości o losach nieznannej światu pionierki nauki, uległa poniewierce; późniejszy jej właściciel bowiem Jamet (który ją dostał 1737 r. od markiza du Chastelet), zapisał ją komentarzami pełnymi szyderstw i obelg dla Marty Bertereau, którą zwie czarownicą, waryatką i nieczemną, blagierką!...

Takiemi były losy owej emancypantki z XVII wieku, mogące, zaprawdę, dostarczyć materiału do zajmującej i barwnej powieści, a w każdym zaś sercu szlachetnym wzniewające współczucie dla niej, a oburzenie na władców tej tak sławionej podówczas monarchii — przodowniczkę świata, jak ją nazywają społeczeńsi.

M. Świdarska.

POSTACIE NIEWIEŚCIE

w poezjach L. Kondratowicza.

Studyum psychologiczno-etyczne

przez

Stanisława Ostrowskiego.

(Dokończenie).

Siły jednak zawiodły słabą kobietę: po tej olbrzymiej fluktuacji uczuć, które bolesne jej serce wznosiły na szczyt fal rozpaczliwej energii i strącały znów w przepaść bezsilnej rozpacz — przyszło wyczerpanie zupełne — matka z okrzykiem: „Ratujcie, ludzie!... nogi mi się chwijają... synu mój, synu!“ padła zemdlna na ziemię.

Tracimy następnie Karlińską z przed oczu na cały akt drugi, dopiero w akcie trzecim scenie pierwszej pokazuje nam ją poeta przy małżonku. Rzecz dzieje się w bastyonie zamku Olsztyńskiego, obleganego przez partyę Maksymiliana, na której czele stoją Zborowscy i Stadnicy. Właśnie Stadnicki przesłał do obozu syna Karlińskiego, mając nadzieję w ten sposób skłonić komendanta Olsztynu do poddania zamku. Posel z obozu zwiastuje Karlińskiemu, że syn jego jest w ręku wrogów, którzy go nie powrócą ojcu przed poddaniem przezeń zamku. Dzielny rycerz odrzuca ze wzgardą tę propozycję, czyniącą ujmę jego nieskalanemu honorowi rycerza, a żonę pociesza, mówiąc, że skoro świt — wypadnie z zamku z garstką załogi i odbierze syna, jeśli Bóg dozwoli, z ręką nieprzyjaciół. Ale dla biednej matki noc wydaje się całą wiecznością, w której każda chwila pełna jest dręczącego niepokoju i trwogi śmiertelnej o syna. Pragnęłaby, żeby zaraz, nocą, nie czekając ranka, spieszyć synowi na ratunek. Gdy więc zjawia się Bieniasz, który wysłany był w pogoń bezskuteczną za porwanym Zygmuntem i opowiada, że będąc blisko obozu, chciał z garstką swoich towarzyszy pocichnąć napaść na wrogów, Karlińska woła z uniesieniem: „Pocziwy! dobry! zacny Bieniaszu! jaka myśl święta przyszła ci do serca!... Jej macierzyńskie serce, całe gorejące miłością i trwogą o syna, nie jest zdolne liczyć się na zimno z warunkami powodzenia... Zapomina, że dwa dziesiątki najmniejszych choćby żołnierzy nie jest w stanie walczyć przeciw kilku tysiącom... Przeważnie — ona wierzy, że zwycięstwo byłoby przy Bieniaszu: „Miałeś nadzieję w Bogu i pałaszu, zdobyłbyś obóz, zginąłby wydzierca, Zygmunty wrócił!“ Tak jest pewna powodzenia, że nalega dalej: „Idź, wszak jeszcze ciemno, wszak jeszcze pora: oni snom oddani! Idź Bieniaszu, zlituj się nad mną, uderz na obóz!...“ Gdy mąż przerywa jej prośbę, mówiąc, że nocą wycieczek z zamku czynić niewolno, mógłby bowiem obrońcy wpaść w jaką matnię ukrytą, — nieszczęśliwej matce zdaje się, że już świta, i pragnęłaby to wzmówić w obecnych, by nakłonić do natychmiastowego działania:

„Ależ mój mężu! czy widzisz? już świta!
Każ zebrać wojsko — to dzielna drużyna;
Ci dobrzy ludzie jak w ogień polecą;
Wrócą ci syna... Czy ty słyszysz? syna!...“

Dziwi ją i dręczy chwilowa bezczynność męża; nie może pojąć, dla czego zwleka, dla czego w tej chwili nie dopada rumaka i nie spieszy na odsiecz synowi... Darujmy jej to jednak, bo to przecież wielka miłość macierzyńska, uczucie głębokie i święte zaślepią ją w tej chwili na wszystko, co nie ma styczności z jej dziećciem, pozbawia jej umysł równowagi i trzeźwiejszego sądu. Lecz sytuacja zmienia się nagle. Karliński dowiaduje się, że nieprzyjacielowi nadeszły posiłki. W obec tego należy się spodziewać ataku w każdej chwili i być gotowym do odparcia. Karliński ożywia się i wydaje rozkazy: uderzyć w bębny, wojsko do broni szykuje. Widząc zapal męża, Karlińska nabiera otuchy, sądzi bowiem, że on pośpieszy już teraz na ratunek synowi, lub wywiesić każe chorągiew białą na wieży, jako znak poddania zamku, dla ocalenia syna z rąk nieprzyjaciół. Woła do męża: „Jakże ci pięknie, gdy tve oko pała w tym bohater-skim, szlachetnym zachwycie!“ Przed zarzutem ze strony męża braku uczucia patryotycznego w jej sercu, temi broni się słowy: „Nie sądz, abym zapomniała, że m córka kraju, który dał mi życie... Umrę dla kraju, jeśli Bóg przeznaczy, pójdę ochoczko na stos i na miecze... lecz syna oddać na pastwę siepaczy — ofiara wyższa nad siły człowiecze!“ Biedne, zbolełe jej serce nie może temu uwierzyć, aby Bóg i kraj chcieli takiej ofiary od duszy niewieściej... Nie może nawet zrozumieć pożytku takiej ofiary: „Cóż kraj na tem zyska, jeśli Zygmunta zamęcą wrogowie?“ — pyta męża z ową szczególną logiką kobiecego serca, przepełnionego aż po brzeg jednem wyłącznym uczuciem, w obec którego wszystkie inne względy ustępują i nikną. Przeraza ją dźwięk wyrazu „zamęcą Zygmunta“, który wyrzekła przed chwilą — i z nowym wybuchem rozpacz błaga męża: „Ratuj go, mężu! Do siepaczów napisz, oddaj im mury olsztyńskiego grodu...“ Pragnie przekonać męża, że król przebaczy mu ten uczynek, że wyrozumie doniosłość powodów, jakie go skłoniły do tego... Przecież „król jest ojcem swojego narodu“ — a więc oceni uczucia nieszczęsnego ojca... Gdy Karliński gromi ją za te wyrazy, które nazywa bluźnierstwem i zdradą haniebną w obec króla, biedna matka przeprosza go, że śmiała go kusić po trosze, natomiast nalega, by zebrał jak najspieszniej wojsko, by w tej chwili uderzył na wrogów i odbił syna. Sama pragnie towarzyszyć mu w tej wycieczce, by na własne ręce odebrać pacholę. Lecz i tej rady Karliński przyjąć nie może, widzi bowiem jasno, że napadając ze swą garstką na liczniejszych teraz nieprzyjaciół, wystawiłby na zgubę załogę zamku, na co mu jego honor dowódcy nie pozwala. Są to racje arcy sprawiedliwe i ważne, lecz nie mogące trafić niestety do bolejącego serca matki... Ona tylko jedno z tego pojmuje, to mianowicie, że mąż jej nie chce spieszyć na ratunek synowi, chociaż uczynić to może i — według niej — uczynić powinien przedewszystkiem. Wybucho więc przed nim goryczą żalu, skargi i rozpacz, wyrzuca mu brak serca, litości i okrucieństwo względem własnego dziecka, chce iść do wrogów, których łzami zmiękczył potrafił przedtem, niż jego — ojca nieczułego i bez serca; w końcu — pragnie przerazić go groźbą wyrzutów sumienia, jakich będzie doznawał po śmierci syna:

„Starcze, wojenną wypieszczony chwałą!
Lękaś się we śnie wyrzutów za zdradę —
Cóż — gdy przed tobą będzie widmo stało
Twojego syna skrwawione i blade?...
Gdy w dzień i w nocy głos twojego serca
Będzie wyrzucał, żeś postąpił dumnie?
Czy sen spokojny mieć będzie morderca
I tu na ziemi, i w grobowej trumnie?“

Słowa te były zbyt gorzkie i bolesne dla męża i ojca... była chwila, kiedy Karliński się zaważał i zwałpił, czy postępuje drogą jedynie należytą i szlachetną. Słyszemy więc, jak mówi wzruszony do małżonki: „Odejdź, Doroto... pomysłę, rozważę... łza mi się kręci — ja kocham to dziećcie!“

Widok tej lzy i tego wzruszenia przejmując Karlińską radością. Przecenia jednak doniosłość tych oznak i sądzi, że już zupełnie zmiękczyla serce męża... Biegnie do okna i pragnie własnoręcznie wywiesić chorągiew białą — znak ocaleńia Zygmunta. Przynagła męża, aby działał jak najspieszniej — i odchodzi niemal od zmysłów przy myśli radosnej, że za chwilę uściska ukochane swe dziecię. Karliński wstrzymuje żonę i prosi, aby się oddaliła na chwilę. Walka wewnętrzna między obowiązkiem a uczuciem trwa niedługo w tem mężem, bohaterskim sercu; poczucie obowiązku zwycięża słabość chwilową. Gdy nieprzyjaciel idzie do ataku na twierdzę, Karliński własnoręcznie rychtuje działa przeciw fali i lont przykłada — chociaż wie, że pierwsza kula zgruchoce pierś jego syna... Na huk wystrzału wbiega z rozpaczą Karlińska i woła wpół nieprzytomnie: „Bitwa skończona... strzelanie ustawa. Gdzie Zygmunt?... mężu!! gdzie Zygmunt?!” — „Już w niebie!” odpowiada jej na to Karliński.

Tu poeta spuszcza zasłonę, pozostawiając widza w nieświadomości losów Karlińskiej. My jednak, którzy zajrzeliśmy w głąb tej duszy kochającej bezmiernie i tkliwej i podziwialiśmy potęgę bezwzględnie panującego w niej uczucia, my wiemy, że echo owego wystrzału przerwało boleśnie naciągniętą strunę jej życia.

Uogólniając teraz nasze spostrzeżenia co do charakteru tej kreacji niewieściej, zaznaczyć powinniśmy przedewszystkiem ową nadmierną wybujałość jednego uczucia ze szkodą innych władz duszy, wynikiem czego był zupełny brak równowagi wewnętrznej, warunkującej postępowanie prawidłowe i normalne nazewnątr. Ztąd pochodzi owa jednostronność charakteru, pewne spaczenie się czy nagięcie istoty moralnej w jednym wyłącznym kierunku, krępujące swobodę i pełność procesów psychicznych w ich powstawaniu i rozwoju. Obniża to poniekąd ogólną skalę etyczną charakteru, która jest o wiele pod poziomem tejże skali charakteru Karlińskiego, a owa właśnie niższość była przyczyną naturalną, że Karlińska nie zdołała nigdy przeniknąć do głębi duszy męża, nie mogła zrozumieć jego postępowania, ani dostroić się do kamertonu jego pojęć. Nielatwą zresztą to było rzeczą, Karliński bowiem — to charakter wyjątkowo wzniosły i bohaterski. Względ ten dużo łagodzi zarzuty, jakie możnaby czynić charakterowi Karlińskiej, która zresztą — jako niewiasta zwykła — posiada wiele rysów dodatnich i przymiotów cennych i szlachetnych, jako to: wyższa nad życie miłość macierzyńska, dobroć, wdzięczność i cnoty domowe.

W studyum niniejszem wprowadziliśmy czytelnika do bogatej galerii kreacji poetyckich Syrokomli, przyjrzelśmy się uważniej szeregowi znanych nam już dawniej niewieściej postaci, najwybitniejszych i charakterystycznych najbardziej — postarajmyż się teraz zdać sobie sprawę z wrażenia, z jakim wychodzimy z tego panteonu kształtów i form idealnych. Umyslnie użyłem tu wyrazu *panteon*, co bowiem najpierw uderza naszą uwagę — to owa właśnie różnorodność, załadniających twory naszego poety. Rzekłyśmy — spotykamy się w nich z najróżnorodniejszymi postaciami niewiasty polskiej, począwszy od poważnej matrony aż do rozkwitającego dopiero z pączka dzieciństwa dziewczęcia; od bohaterskiej dziewicy książęcego rodu — do cichej i skromnej dziewczyny wioskowej. Oparłszy nasze badanie przeważnie na gruncie etycznym, odkryliśmy obok poszczególnych cech i rysów dodatnich, właściwych każdej z tych postaci z osobna, pewien ogólny podkład moralny, sprzyjający rozwijaniu się i wzrostowi charakterów przeważnie szlachetnych i zdrowych. Charakterów złych i przewrotnych, fałszywych z gruntu lub zbrodniczych, przepominających wielkie zbrodniarki Szekspira — nie spotykamy wcale. Nie ma również charakterów demonicznych, przeciwnie — u znacznej większości przeważa pierwiastek łagodny i miękki, bierny nawet, pierwiastek kobiecości, ujawniający się w uczuciach tkliwych i cichych, rzewnych, które są

głównymi motorami w ich życiu. W niewielu tylko charakterach spotykamy pierwiastki pewnej męskości, jak to: odwagę, zapał, bohaterskość, które jednak nie zagłuszają cech miększych i wdzięczniejszych duszy niewieściej, lecz przeciwnie — harmonijnie łączą się z niemi, wytwarzając w ten sposób typ wszechstronnie rozwinięty i pełny dzielnej niewiasty polskiej (np. u Hanny). Pod względem etycznym — powtarzamy to raz jeszcze z naciskiem — są to niemal wyłącznie charaktery szlachetne, zdrowe, moralne, w szczęściu zupełnie zrównoważone, spokojne i uszczęśliwiające (np. Zosia); w upadku — szczerze pokutujące (dziewczyna z „Wielkiego Czwartku”); odradzające się z dawnych błędów dla życia szlachetniejszego i lepszego (Marya z „Chatki w lesie”); wreszcie, gdy ich szczęście osobiste bywa postawione w kolizji z obowiązkiem, nie cofające się prawie nigdy przed spełnieniem ofiary (Zofia z „Możnowładców”).

Kazimierz Gliński.

KRZYWDA

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

XIV.

Katarzyna de Medicis.

W połowie Lutego, gdy Grudowski w Hajczyńcach bawił, Sochacki otrzymał telegram, donoszący o powrocie pani Karoliny i z rozkazem wysłania koni na dworzec kolei. Adres telegramu był: „Do zarządu dóbr Górek,” więc pan January czuł się w prawie zajrzenia do środka depezy i w oznaczonym czasie wysłał kareta na dworzec.

Na pół godziny przed zachodem słońca kareta zatrzymała się przed gankiem. Na schodach stał Sochacki, który czuł się w obowiązku w nieobecności pana powitać panią. Gdy powóz zatrzymał się, podszedł szybko do drzwiczek, otworzył, skłonił się nisko i podał ramię wychodzącej. Widząc niezadowolonego, Grudowska zatrzymała się na stopniu karety i patrząc z góry na siwą głowę jego, zapytała:

— Waszmość?...

— Sochacki, do usług jaśnie wielmożnej pani.

— Nie znam...

— Rządca w dobrach tutejszych.

Pani Karolina drgnęła lekko i zeszła ze stopnia, za nią wyskoczyła Maryanna.

— Syn mój widocznie znużył się już gospodarstwem, kiedy sobie zastępcę wynalazł, — rzekła pani Karolina, zatrzymując się przed gankiem i zwracając się do Sochackiego. — Ale...

— Co, jaśnie wielmożna pani?

— Pan już za stary, a tutaj pracy dużo.

— Kości jeszcze nie bolą, — odpowiedział Sochacki, — i do pracy sił mi nie braknie. Wstaję przed słońcem, a kładę się, gdy na folwarku wszystkie światła pogasną.

— To się chwali, — robiąc lekki ruch głową, rzuciła Grudowska, a wstępując na ganek, odezwała się jeszcze:

— Poprosz waszmość mojego syna do mnie.

Miała już wejść do mieszkania, gdy Sochacki skłonił się i rzekł:

— Dziedzica niema w domu.

— Wyjechał?

— Tak, jaśnie wielmożna pani.

— Dokąd?

— Do Hajczyńca.

Twarz pani Karoliny pobladła lekko, kąty ust się zacisnęły, a oczy jakby mgłą zasłyły.

— Do Hajczyńca? — zapytała.

— Tak, — odpowiedział Sochacki.

— Bywa tam często?

— Dość często.

— Kiedy wyjechał?

— Wczoraj.

Grudowska przygryzła wargi.

— Wróci?

— Dziś zapewne, proszę jaśnie wielmożnej pani.

— Zapewne? A więc bawi tam czasem i dłużej?

— Różnie bywa.

— A jakże w Piaskach gospodarstwo idzie, bo na lata waćpana za ciężko tu i tam?

— Piaski mają Groblewskiego, proszę jaśnie wielmożnej pani.

— Taaak?!

Skinęła głową i weszła do wnętrza domu.

Sochacki z pod przymrużonych powiek patrzył za odchodzącą, później poruszył brwiami, mruknął coś, usunął się na bok i tylko głową pokręcił.

Panna Maryanna zaczęła wydawać rozkazy służbie. Grudowska stanęła przed zwierciadłem w swoim buduarze.

— Dwóch rządców, sam w Hajczyńcach... Wyreżanie się takie mieć musi duże znaczenie, — szeptała matka pana Hipolita, ściągając nerwowo rękawiczki z palców.

Rzuciła ramionami.

— Co za zmiany podczas mojej nieobecności zaszły!

Cisnęła rękawiczki na stół, gdzie leżały bilety wizytowe, załamane w rogach.

— Co? — zawołała. — „Bonawentura Ryba,” „Brygitta z Rojdałowskich Rybina” i „Matylda Rybianka”?

Czoło jej sfałdowało się, wargi zacisnęły mocno, a palce trzymające bilety, drżeć zaczęły.

— Wizyta! — zgrzytnęła.

Zacząła szybko przechadzać się po buduarze, miotana niepokojem.

Jakkolwiek z zapamiętanych słów pana Hipolita o Matyldzie, znając zresztą jego powolny temperament, nie sądziła, by do jakichś stanowczych kroków już doszło, ci rządcowie jednak, ta wizyta i dzisiejsza znów bytność syna w Hajczyńcach, niewymowną napełniły ją trwogą.

Kto wie zresztą, co się już stało?

Pan Ryba mógł skorzystać z jakiejś chwili, z nieoględnie wypowiedzianego słowa i przyspieszyć wyznaczenie Hipolita przed tem, nim by ona do Górek wróciła. To bardzo zrozumiałe, to nawet po mistrzowsku obmyślane byłoby. Pan Ryba wiedział, że kto raz z Grudowską zrywa stosunki, po raz drugi nie ma po co zbliżać się do niej, więc dopięszył, i może — może już wszystko skończono!...

Wyprostowała się, jak słup i oczy zwróciła na ścianę, gdzie wisiał w czarnych ramach sztych przedstawiający Katarzynę de Medicis.

— Skończone?... Nie! — przez zacisnięte wy padło usta.

Ona na ten związek nie pozwoli na nic w świecie. Fortuna rodowa nie może się rozpaść, rodzina Grudowskich do dawnej musi powrócić świetności. Splendor domu już ukochany Henryk podtrzymał, łącząc się z Krukowskimi, lecz dwakroć za żoną wzięte jest niczem w porównaniu z obszarami Górek i Piasków... A fortuna Henryka nadszarpnięta została, lasy wycięte, — krząją nawet niepewnie wieści o długach...

Przypuszczalne ożenienie się Hipolita, pani Karolina uważała niemal za zbrodnię, za śmiertelny grzech względem rodu.

Wzburzenie jednak przeszło, i pewna refleksja górę wzięła. Hipolit stanowczego kroku bez jej wiedzy nie mógł zrobić, — może nie będzie żądał od niej pozwolenia, lecz bez zawiadomienia jej nie uczyni.

Uspokoila się trochę; nie zapowiadało nic dotąd pewności jej przypuszczeń.

Siebie już знаła, wiedziała, jak w danym wypadku postąpi, teraz myśl jej zajął Hipolit, skromny, cichy, pokorny, ale nieugięty jak stal, jak

jej wola—niezłomny. Odczuwała tę siłę i drżała przed nią.

— Co tu robić?—stawiała sobie pytanie.

Gniew, oburzenie, rozkaz,—to na nic!... Hipolit nie ulęknie się gniewu, rozkazu nie posłucha. Znadto był samotny, i ta samotność tylko powiodła go do Hajczyniec, ta samotność tylko może pod dach ten sprowadzić pannę Matyldę. Lecz, mimo to, wszystko zmienić się może pod naciskiem przyjaznej, kobiecej dłoni, spragniony jest uczuć tkliwych, których nie zaznał nigdy.

Pani Grudowska przypomniała sobie ostatnią bytność swoją u syna i jego radość z odwiedzin niespodziewanych.

„Gdybyś mnie odrobinę więcej kochała, a niczym nie chciał,“ wyszeptał parę razy.

— Zatrzymam go przy sobie, — myślała, — aż zapomni. Później zmuszę do zrobienia układu z Henrykiem, do zapewnienia jemu, lub dzieciom jego całej, niepodzielnej fortuny. Trzeba tylko zmienić postępowanie i sercem zapanować na nim.

Czuła jednak, że łatwiej jest wypowiedzieć ten frazes, niż go w postępowaniu zastosować. Do odgrywania komedii czułości powołania nie miała: to nie jej rolą! Za szybko poznałby się Hipolit na grze nieumiejętnej, a takiemu aktorowi okłasku by nie dał.

— To na nic, to na nic!—szepiała w duchu.— Łamać mogę, druzgotać mogę, lecz tak lichy maski na twarz nigdy nie brałam. Chwila obłudy nie zatrze trzydziestu kilku lat postępowania. Nienawidzę go! — zawołała, ściskając pięści.—to dosyć jest dla mnie i... dla niego!

Przez wzgląd jednak na Henryka i plany, snute na przyszłość, lękając się odrazu postawienia wszystkiego na ostrzu noża, choć cień maski na twarz wziąć była zmuszona.

Z niepokojem, lecz mniejszą już trwogą oczekiwała na przybycie syna, snując myśli, które jak czarne fale przez mózg jej przepływały.

Słońce zaszło, — Maryanna wniosła światło, lecz, niezatrzymana przez panią, wysunęła się cicho. Godziny mijały, — pan Hipolit nie przyjeżdżał.

Przez ten czas pokojówka myszkowała po dworze całym. Zaczepiła Sawka, uprzejmie przywitała Czubińskiego, z tym, to z owym w poufną wdała się pogawędkę. Dowiedziała się o wizycie państwa z Hajczyniec, o spacerze panny Matyldy do młyna, o rozlewaniu przez nią herbaty, grze na fortepianie, o prezentach, kupowanych przez Grudowskiego dzieciom państwa Sochackich, balach w sąsiedztwie i o kupionym już u Ziemana domu, który ma stanąć w Piaskach, gdzie też zaczęto już zwozić materiały budowlane ze Zwolenca. Te wszystkie wiadomości, przed przyjazdem pana Hipolita rzucane zostały do ucha pani Karoliny.

Z dziwną obojętnością słuchała Grudowska opowiadań pokojówki, choć dostała skureczu serca na wieść o zwożonych materiałach budowlanych do Piasków. Nie mara to już żadna, lecz pewność, że z jakimiś stałymi zamiarami nosi się pan Hipolit, że wszystko ułożone, skończone—bez niej.

Rola gospodyni, jaka wypadkowo przypadła w Górkach podczas wizyty Rybstwa pannie Matyldzie, dała wiele do myślenia Grudowskiej: Hipolit był wesół, bo dom jego rozbrzmiewał dźwiękami muzyki; ręka kobieca usługiwała mu, i to wzbudziło w nim chętkę zatrzymania tej ręki na dłużej. . Teraz ten dom?..

Gniew zapalił się w oczach pani Karoliny.

Hal gdyby jej przypuszczenie uzasadnione było, gdyby miała pewność, że Hipolit dał słowo pannie Rybiance, —gotowa dopuścić się skandalu, choćby jej przyszło panu Rybie drzwi pokazać, a pannę Matyldę od pokojówki zwymyślać. Ona gotowa czegoś gorszego się nawet dopuścić: czuje to po gorącej fali krwi, która jej mózg zalewa, płacze myśli i przerażające rysuje obrazy. Odsuwa je precz, lecz one stają wciąż przed nią i wiją się w spłot jakiś węzowy i szepcą wyrazy okrutne. Myśl wzburzonej kobiety przypominała teraz jakieś obrazy dawne, niegdys, w młodości jeszcze, w starofrancuzkich ro-

mansach czytane: w puharach szumiało wino zatrute, skrytobójcy wałęsali się po kurytarzach zamków. Porywały ją historyczne powieści starego Dumas'a, w „La reine Margot,“ krwawa postać Katarzyny de Medicis upajała odurzającą wonią. Zdawało się wówczas pani Karolinie, że ma coś w sobie z tej przepotężnej monarchini, że byłaby okrutną, jak ona, bezlitośną, jak ona. Sceny mordercze wstrząsały jej nerwy, lecz poddawała się temu drżeniu z rozkoszą jakąś zwierzęcą. Nie lubiła Barbary, Bona całkowite rozgrzeszenie jej miała. I dziś te obrazy wszystkie, sceny krwawe, gwałty i zbrodnie przesuwały się przez mózg jej.

— Nie pozwolę! — mówiła przez zaciśnięte usta,—nie pozwolę! choćbym się miała wyrzec zbawienia wiekuiętego!

Przyniesiono wieczerzę, lecz jej nie tknęła pani Karolina, kielich wina wypila tylko i mimowoli wzrok skierowała na wiszący nad biurkiem sztych, przedstawiający matkę Karola IX-go.

Po chwili do pokoju wpadła Maryanna.

— No, co tam takiego? pożar, czy dom się wali? — brwi lekko marszcząc, głosem suchym spytała Grudowska.

Panna Maryanna wstrzymała się.

— Nie, proszę pani...

— Tylko?

— Pan Hipolit przyjechał.

— Więc cóż? Nie było go w domu i przyjechał.

W kurytarzu dał się słyszeć chód szybki.

— Wyjść!—rzekła pani.

Usiadła na fotelu, przybierając pozę widzianą tylko co na sztychu postaci—i czekała na syna.

Dało się słyszeć lekkie stuknięcie w drzwi i pytanie:

— Czy można wejść, mameczko?

— Oczywiście, że można.

Pan Hipolit był już przy niej.

Grudowska, czując kilkakrotnie, gorące pocałunki, na ręce swej składane, zimnemi ustami musnęła po czole pana Hipolita.

— No, pokaż mi się, niech ci się przyjrzę, synu!

Patrzyła uważnie, znajdując niejedną zmianę w stojącym przed nią.

Tak, pan Hipolit był nieco inny. Nie widziała go od czterech miesięcy—i innym jej się wydał. Ogorzelizna nie szpeciła jego twarzy, miał cerę czerstwą lecz białą, usta różowe, w ruchach żywość i ogień w oczach, do tego strój czarny podnosił wygląd jego postaci. Był bardzo przystojnym mężczyzną i zapachu obór nie było czuć wcale. Tak, pan Hipolit się zmienił,—takim go nie widziała jeszcze.

Pani Karolina myliła się.

Ogorzałość twarzy, jako ślady gorących pocałunków słońca, znikła rok rocznie przez czas jesieni i zimy, tylko, że codziennie widząc pana Hipolita, nie dostrzegała tych zmian powolnych a bardzo zwyczajnych; obecnie, po kilkumiesięcznym niewidzeniu się, dostrzegła. Przyczynił się także do tego i strój wizytowy, którego Grudowski, zerwawszy prawie wszystkie z sąsiadami stosunki, nie używał wcale. Był tylko więcej ożywiony, niż zwykle, mniej posępny i mniej zgnębiony.

To ożywienie pani Karolina wzięła za skutek wizyty; przecucie jej mówiło, że pan Hipolit, po dwudniowym pobycie w Hajczyńcach, powrócił związany słowem z Matyldą. Upewniał ją o tem błysk jego oczu, korał ust i uśmiech radości. Czuła w swem sercu burzę, lecz wiedziała, że stojący przed nią gromów się nie ulęknie. Nie dziecięciu to, lecz maż dojrzwały i wyćwiczony w szkole życia. Okrasila więc usta swoje przymuszonym uśmiechem i rzekła, wskazując na krzesło:

— Usiądź!

— Jakże zdrowie, mameczko, wyglądasz doskonale, — zaczął Hipolit, siadając. — Nie znać wcale na tobie znużenia, choć z tak dalekiej podróży wróciłaś; lecz, jeżeli się czujesz znużoną, mamo—powiedz,—wyjdę zaraz.

— Nie—nie,—odrzekła pani Karolina. — Nie widziałam cię tak dawno, rada pomówię z tobą, jeżeli nic przeciwko temu nie masz.

— Ja?... Ależ, moja mamo!—zawołał pan Hipolit.

— Prawda, że już nie potrzebujesz wstawać przedświtem, mając wyręczycieli, — dodała susho Grudowska.

— To nic,—przerwał Hipolit, — oko pańskie konia tuczy. Nie wyręczycieli, lecz pomocników znaleźć musiałem, bo jużbym sam dziś nie wydołał w dwójnasób prawie z większemu gospodarstwu. Wstaję zaś, jakzawsze, z kurami.

— Doprawdy?

— Nie inaczej, i sam jestem wszędzie i wszystkim.

— Balujesz jednak.—rzuciła pani Karolina.

Pan Hipolit spojrział na matkę.

— Zkąd mama tak szczegółowe sprawozdanie ma o mnie? —zapytał.

— Nie zastawszy cię w domu, pytałam,—odparła, przygryzając lekko wargi.—I jak widzisz, dowiedziałam się o wielu rzeczach.

— To trudno! musiałem się przypomnieć sąsiadom,—rzekł Hipolit.—Zresztą, po latach trzy-nastu takiej pracy, jak moja, należy mi się chwila spoczynku.

— Zapewne, zapewne... tylko...

— Tylko co, mamo?

Grudowska położyła rękę na ramieniu syna i rzekła z powagą:

— Nie chciałabym, ażeby się na Hajczyńcach skończyło.

Hipolit pochylił czoło.

Była chwila przykrego milczenia,—pani Karolina nie odrywała oczu ze spuszczonej powiek Hipolita. Zdawało się, że chciała wejść do wnętrza jego istoty i przejrzeć każdą komórkę serca, każdą kryjówkę mózgu, gdzie uczucia i myśli błędzą, gdzie powstają żądze i postanowienia. Grudowski nie podnosił czoła, na które coraz ciemniejsza zasuwała się chmura. Pani Karolina pobladała, a usta szepnęły:

— Więc—już skończone?

— Co takiego? — odezwał się Hipolit, budząc się z zamyślenia.

Grudowska zsunęła rękę z ramienia syna i rzekła powoli, jakby ważyła wyrazy:

— Widzisz, synu, Grudowscy nie zapominają o wyrządzonych zuiewagach. Była chwila, w której mogłeś pomyśleć o tej pannie Rybiance, ale wtedy Grudowski nie wiele był wart, dziś zaś... ta panna Rybianka nie wiele jest warta. Jeżeli tego nie czujesz...

Zatrzymała się—Hipolit powstał z siedzenia.

— Żadnych nie zrobiłem jeszcze kroków,—rzekł.

Grudowska odetchnęła, jakby ogromny ciężar spadł z jej piersi.

— Co się zaś tyczy dawnego mego stosunku do panny Matyldy, — ciągnął Hipolit,—w całej tej sprawie winien był tylko nietakt pani Rybiany.

— Dla Grudowskiego to obojętne, — odparła pani Karolina, — dosć, że Hajczyński dom przed nim zaparto.

— Usunąłem się sam,—rzekł półszepem Hipolit.

— Bez przyczyny?—spytała Grudowska.

— Mówiłem mamie...

— Mówiłeś jeszcze,—dodała, — że i ta panna przyjęła cię dość chłodno... Mam dobrą pamięć!

— Nie przeczę,—odpowiedział pan Hipolit,—za obojętny byłem wtedy pannie Matyldzie. Ale, czy nie zmieniają się z czasem lu dzie, uczucia?

— Tembardziej, gdy panna starzeje się, konkurentów już brak, a Grudowski zaczął porastać w pierze, — dokończyła pani Karolina. — Śmiałabym się,—mówiła dalej, — gdyby nie za ubliżającą była ta na nowo odgrywana komedya Pannie potrzeba męża, ale grat, wybredny dawniej, dziś podszarżany, niczyjego oka już zwrócić nie może, przypomniano więc o tym, którego dawniej odsunięto, bo niemal sam chodził za pługiem, który dawniej nie miał waloru, choć jest Grudowski i z Wapowskiej się rodzi, — i dziś ten odrzucony na zwietrzałą przynętę się bierze... Cha cha, cha!.. Lubię dobrą komedye, ale podobnej farsy nie zniosę!

Słowa te, rzucone przez matkę, uderzały w serce panna Hipolita, jak grad ostrych kamieni. Krew mu napłynęła do głowy, policzki ogniem piekły, mgła jakaś szara co chwila zasłaniała oczy. Z pochylonem czołem chodził po pokoju wysłanym miękkim kobiercem krokiem nierównym, a myśli sprzeczne uderzały o siebie, jak fale o fale i z szumem rozpryskiwały się. To, co dziś mówiła mu matka, i on nieraz powtarzał sobie, te same myśli i jemu przesuwają się przez głowę, ta sama niewiara w uczucie panny Matyldy krępowała nieraz jego słowa i wstrzymywała kroki stanowcze. Czuł, że gdyby tak było, jak mówiła matka—a być mogło—dumie jego bolesny cios zostałby zadany. Przeniósł się myślą w przeszłość, do chwil tych, gdy pannę Matyldę poznał i zamarzył o niej, i nie będzie oszukiwał siebie—wyniosłość pani, chłód panny, kazały mu zerwać z Hajczyńcami stosunki. Dziś się zwrócono do niego po za długich lat czekania, oddawano mu towar, przez nikogo nie wzięty.

Krew strumieniem napłynęła mu do twarzy, a czoło w dwie bruzdy się zarysowało.

„To bardzo jest możliwe—myślał. Panna starszeje, konkurentów brak, a Grudowski złoto wykopał..

I przypomniał panny Matyldy chód ocięzwały, twarz obrzękłą, malutkie woreczki pod oczyma, ten niezatarty niczem lat rysunek.

„Lecz mniejsza o to — i ja nie jestem w kwiecie młodości—myślał dalej. Odrobinę chcę tylko serca, bo odrobinę sam tylko dać mogę. Ale czy tam jest to serce, czy tylko chęć wydania się za pana Hipolita Grudowskiego?

Po chwili uspokoił się, stanął przed matką i zapytał:

— Co mama, myśli o mnie?

— Że przeniesiesz starokawalerstwo nad narażenie na szwank godności własnej!—odpowiedziała z powagą.

Pan Hipolit przeszedł się parę razy po pokoju.

— Rybostwo byli u mamy z wizytą—rzekł.

— Wiem o tem, widziałam bilety i dla tego właśnie o Hajczyńcach ci wspomniałam.

— Czy mama z rewizytą będzie u nich?

— Czy ci się tak bardzo panna Matylda podobala?

Pan Hipolit znów stanął.

— Doprawdy, nie wiem, co mam na to odpowiedzieć... Wiem jedno tylko, że źle mi jest samemu..

I przyszedł mu na myśl długie lata samotności i ta jedna, krótka chwila, gdy dom jego napełnił się gwarem i dźwiękami od lat tylu mileżącego fortepianu, gdy panna Matylda krzątała się z czajniczką w rękę, zastępując miejsce gosposi, której tak pragnął.

— Chciałbym się już ożenić—rzekł po chwili.

— I to koniecznie z panną Rybianką—dodała Grudowska.

— Nie mam, — podchwycił Hipolit... Wolałbym inną, gdyby się inna zdarzyła, do której bym się nie przywiązywał, lecz którąbym ukochał od razu. Przeciwno pannie Matyldzie mam bardzo wiele, przeciwno niej i pamięć moja powstaje i bunt podnosi ta дума mężka, którą już raz dotknięto boleśnie. Ale myślałem, że przeszłość zatrzeć się może; wspomniano mi tam zresztą o pewnym tylko nieporozumieniu.

— Wspomniano! — zaśmiała się pani Karolina—wspomniano!... To paradnel... Szkoda, że zapóźno trochę,—wyciedziła przez zęby.

— Tak, może już zapóźno, — powtórzył cicho pan Hipolit.

Usiadł i dawny wyraz smutku pokrył twarz jego.

— Dziwi mnie, Hipolicie — odezwała się po chwili Grudowska, — że tak złe masz wyobrażenie o sobie. Możesz się przecie podobać nietylko pannie Rybiance; po cóż więc śpieszyć się i iść w tak otwarcie nastawione sidła starej panny? Łatwo uczynić krok niedorzeczny, cofnąć go trudniej. Jeżeli zrozumiałam ciebie, to brak ci serdecznego, kobiecego ciepła?..

— Tak, — szepetem odpowiedział pan Hipolit.

— A jeśli brak ci serca, nie spodziewaj się go znaleźć w tej, którą z tobą zwiąże interes — nie uczucie. Słowicze dźwięki łatwo się przemieniają

w skrzek żaby. Gdy cel osiągnięty zostanie i rozluźnią się krępujące dziś więzy, poczujesz ten sam chłód, gorszy stokroć, bo już nie osoby ci obcej, lecz dozgonnej towarzyski życia.

Hipolit drgnął.

— Cóż powiesz na to?—zapytała po chwili.

— To być może—wyszeptał.

— Tak będzie—rzekła pani Karolina, — ale ja cię uchronię od bolesnego po raz drugi zawodu.

Hipolit milczał. Gasła znów słaba gwiazda poeciechy, która się zatliła na szarem tle jego smutnego życia,—znowu samotność, samotność i samotność.

Milczenie się przeciągało.

— Przecie jej nie kochasz? — z pewną niecierpliwością w głosie spytała Grudowska.

— Tak, mam, — ałem się przyzwyczaił do niej.

— Może ja ci zawadzam?... Więc się usunę. Słyszałam, że masz zamiar budować dom w Piaskach—ciągnęła pani Karolina z pewnym odcieniem udanego bólu. Usunę się więc gdzie chcesz... jeżeli tylko zawadzam tobie!

Hipolit zwrócił się szybko do mówiącej.

— Nie mów tak, matko—odezwał się—na takie nie zasłużyłem słowa. Wiesz zresztą, że mówiąc tak, stokroć mi większy ból sprawiasz, niżby tego dokonać mogło rozstanie się moje z panną Matyldą, do której znowu nie przygląłem tak sercem, ażebym oderwać się nie mógł. Czy myślisz, że i mnie się nie nasuwały wątpliwości do twoich podobne? czy myślisz, że nie byłoby dla mnie stokroć większą torturą chłód żony, niż samotność, w jakiej żyłem dotychczas? Usta bez uśmiechu, ramiona nie wyciągające się bez przymusu, serce bez drzeń ehowych, — miast duszy znaleźć tylko ciało, zapalające się żądzą chwilową... to nie mój sen, nie moje marzenia!... I ta niepewność uczucia z tamtej strony, ta chwiejność z mej własnej, były powodem, że dotąd nie mnie z panną Matyldą nie związało.

Grudowska wyciągnęła rękę do syna.

— Przebacz, że posądziłam ciebie o brak—rozważy.

— Z Hajczyńcami jednak sąsiedzkich stosunków już nie zerwę — ciągnął Hipolit. Nie wiem tylko—dodał po chwili — jak będzie z tą wizytą Rybów u mamy? Czy mama będzie u nich?

— Odgadnąć łatwo — rzekła pani Karolina. Ostatnia była moja; oni w ciągu lat dwóch nie wybrali się do mnie, teraz niech czekają, jeżeli są cierpliwi..

— To znaczy nigdy—rzekł Hipolit.

— Tego nie powiedziałam, — po chwili wahania się odparła Grudowska... Daj mi tylko słowo, że żadnych beze mnie nie przedsięweźmiesz kroków, tyczących się małżeństwa.

— To naturalne, mam!

— Tyle zresztą jest kobiet — rzuciła Grudowska.

— Co mi po nich, gdy moje serce już zaśnie—działa! — westchnął pan Hipolit. Bez miłości, a przynajmniej wielkiego zobopólnego przywiązania, nie ożenię się. A powiem mamie szczerze, panna Matylda więcej mi się podobała, niż inne i gdybym był pewny, że tam gra rolę nietylko chęć wydania się za żonę—może, może..

— Ale może znajdziesz inną, tylko szukaj serca, — przerwała pani Karolina.

— Chciałabyś pewnie, mam, jakąś Krukowską mi wyswatać — smutnie się zaśmiał pan Hipolit. Ba! gdybym znalazł serce takie, jakie rozumiem, — zawołał po chwili — żadna moc nie oderwałaby mnie od niego, nawet ty — moja matko!

— Znajdź tylko!—szepnęła pani Karolina głosem, w którego dźwięku niewiadomo co przeważało—rada, czy groźba.

Uspokoila się jednak, że takiego serca jeszcze syn jej nie znalazł, nie chodziło jej zresztą w tej chwili o to, co być może, lecz—co jest.

— Cóż z Henrykostwem? — zapytał po chwili Hipolit. Już są po ślubie i wyjechali pewnie zagranicę?

— Do Włoch — odpowiedziała pani Karolina, której usta poruszył uśmiech tklivosti na wspomnienie o Henryku.

— I bardzo się mamie panna Teofila podobała?

— Czarująca istota! — zawołała Grudowska. W każdym calu znać damę wielkiego świata. Gdybyś ich widział razem, dopierobyś poznał przedsmak prawdziwej miłości: dwie dusze, dwa serca przywiązane do siebie! On za nią, a ona za niego życieby swoje oddali!

Pan Hipolit przymrużył lekko oczy. Bratowej nie znał, ale Henryk o takim szalonym wybuchu uczuć nie mu nie mówił. Pani Karolina ciągnęła dalej:

— Wyjechali do Włoch zaraz po uczcie, spędzonej w małym kółku rodziny. A cóż to za ślub był wspaniały, co za uroczysta chwila! Tysiące świateł gorzało w świątyni, ściany ubrane były w zielen i kwiaty, a grzęzłeś prawie wśród róż, zaścielejących kamienne tafle kościoła. Obecny był cały high-life — marszałek i namiestnik odprowadzali pannę młodą od ołtarza. Henryk umiał zrobić wybór!

— I umiał w Grudowie lasy sprzedać—rzucił Hipolit.

— To trudno, mój drogi! Takie stosunki i związki wymagają trochę wydatków. Wy tylko dzisiaj nie dbacie nic o utrzymanie świetności rodu, dla niego nie poniesiecie żadnych ofiar! Rzeczywiście—mówiła jakby do siebie—zmalala dziś fortuna Grudowskich, a gdy Henryk dzieci mieć będzie, znow się rozdzieli, zmniejszą.

Westchnęła i umilkła.

— Henryk pisał do mnie, że z Włoch mają zamiar do Kairu wyjechać?—zaczął Hipolit.

— Nie, zmienili plan podróży—odpowiedziała Grudowska. Powrócą do domu za parę miesięcy, może nawet wcześniej.

— Dla czego?

— Pani Teofila życzy sobie być jak najspieszniej w Grudowie. Lato w kraju przepędzą, na zimę znow prawdopodobnie wyjadą zagranicę — może już do Kairu, jeżeli, naturalnie, pozwoli stan Teofili.

Godzina była spóźniona, lecz pani Karolinie nie kleiły się oczy do snu. Wspomnienie o Henryku ożywiło ją, opowiadała więc ze wszelkimi szczegółami o bytności swojej we Lwowie, o stosunkach zawartych i synowej, która miała być perłą wszystkich kobiet żyjących. Kilkakrotny położyła nacisk na rozdzielającą się wciąż fortunę Grudowskich, na przygasający z tej przyczyny blask imienia, który podźwignąć potrzeba, czego znow bez ofiar pewnych dokonać nie można. Były to niewyraźne aluzje, ostrożne napomnienia, jakby przygotowanie do pewnych myśli niewyjawionych jeszcze, lecz wyjawić się mających.

Pan Hipolit słuchał i niezupełnie rozumiał znaczenie tych niedomówień, półsłówek i ogólnego kołowania około tajemniczego przedmiotu. Zrazu myślał, że pani Karolina tajony żal czuła do Henryka za sprzedaż lasów i nadszarganie rodowej fortuny, lecz gdy myśl swoją wyjawiał, stanowczy głos matki przekonał go, że był w błędzie.

— Nie o tem mówię—rzekła, — Henryk nie mógł inaczej postąpić.

A zatem co miała na myśli?

Pytać nie chciał, a może nie śmiał, odgadnąć nie mógł. Opuścił pokój matki ze smutkiem i pustką w duszy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Najnowsze poezye.

Szczerego zawsze doznaję wzruszenia, gdy mi wpada w rękę tom poezji młodego, nieznanego mi jeszcze autora; i tak jako myśliwy na odgłos trąbki łowieckiej zrywa się i leci do kniei i po tropie wpada na zwierza i towarzyszy, tak i ja, niecierpliwie przelatuję książkę, najpierw po bieżnie, po hasłach tytułów, po tropie rymów, po ścieżynach strof oderwanych, po tej całej świe-

żej ponownie natchnienia, i gonie poetę przez jego własną knieję, szukając najgłębszego macecznika jego ludzkiego i artystycznego credo. I dziwna rzecz, że to najpierwsze, najbardziej pobieżne wrażenie, daje mi właśnie najczęściej od razu poznać typowy koloryt autora, jego nastroj ogólny i charakterystyczne cechy, które potem sumienne przeczytanie książki uzupełnia i uzasadnia w szczegółach. Taki tomik poezji wydaje mi się zawsze jakimś dawnym znajomym, dalekim krewnym nawet, towarzyszącym lat z legendowej epoki marzeń i młodzieńskich zachwytów, kolegą z dawnych bojów wewnętrznych, jakich na wstępie życia dusza była nieustanną areną, słowem — te oto kilka książeczek, które dziś leżą przedemną, oznaczone nieznane mi nazwiskami nieznanych mi ludzi, są mi jednak bliskie, powinowate, pokrewne i biorę je ze szczerze koleżeńskim uczuciem do ręki.

Jeżeli od czasu do czasu pojawi się młody poeta, wyrasta sobie cicho i nieznacznie jak jaskier na łące, to, o ile nie czyni wybitnych postępów w swoim talencie, może nawet bardzo długo pozostać nieznanym. Ale jeśli naraz zjawia się takich jaskrów kilka, kilkanaście równocześnie, to już jest zasiew, to już objaw ogólniejszej natury, jakiś prąd silniejszy, jakaś drożyna, która zaczyna być gościncem i może na dalekie doprowadzić szlaki. Najczęściej pierwsze tomy młodzieńczych utworów noszą na sobie ślady literackiej szkoły, jaką autor przeszedł, wpływ mistrzów ulubionych lub jakiegoś kierunku, który budzącą się siłę mniej więcej świadomą siebie porwał za sobą. Indywidualność ściśle zarysowana wyrabia się później; kto z nią zaczął od razu — to jest też od razu wybitnym talentem, a talent prawdziwy nie przechodzi fazy początkowania, nigdy nie sylabizuje, nie jąka swojego natchnienia, tylko jest od razu sobą.

W utworach, o których mówić będę, jest tyle wspólności w cechach ogólnych, że zanim o każdym z tych autorów słówko poszczególne się powie, oznaczę ową drożynę, po której wszyscy niemal równocześnie kroczą i zaczęli. Przedewszystkiem w tych pięciu tomach nie ma wcale naśladownictwa zagranicznych dziwadeł literackich, nie ma przebierania się w dekadentów, symbolistów, impresjonistów, nie ma ani francuskiej, ani belgijskiej, ani duńskiej maszyneryi, z jej bohaterami ślepymi, głuchymi, chromymi na duszy lub na ciele, nie ma tego całego sztucznego, nieuleczalnego balastu, którym zamorscy autorowie podtrzymują swe utwory bodaj czy nie w braku rzeczywistego, głębokiego nurtu natchnienia. Tych kilku młodzieńskich autorów jakoś nie porwał cudzy prąd, czy się z nim nie spotkali, czy go uniknęli świadomie, tego rozstrzygnąć się nie da; zdaje mi się jednak, że się z nim nie zetknęli bliżej, bo po trochu wszyscy naśladować lubią Elego, Konopnicką, Gomulickiego, zostając na rodzinnym zagonie.

Bardzo dobrą wspólną cechą jest upodobanie w przyrodzie naszej, swojskiej, prostej, słonecznej, czy burzliwej, pokrytej wiosennym płaszczem, czy zasnutej w śnieg i mgły, i tej przyrodzie bardzo dużo liryk poświęcili młodzi ci piewcy i rzeczą do zaznaczenia jest to właśnie, że wszyscy daleko lepiej opisują przyrodę, niż własne cierpienia, uczucia, ideały. Tutaj świat psychiczny dużo zostawia do życzenia: boleść najczęściej przemawia okrzykami, dość już okrzykaniami, tęsknota jest często blizką nudą, miłość popolitością, humor zaś, nie dochodząc linii istotnego dowcipu i wesołości, spada na poziom trywializmu. Od tego zarysu ogólnego, każdy z autorów po swojemu umie ulecieć jednak w krainę istotnej poezji. Wszyscy zdają się wysoko cenić pieśń, godność wieszczca, powagę sztuki, konieczność prawdy i piękna; pomimo tego jednak wydali tomy za duże, w których obok ładnych poezji są całe szeregi wierszy i wierszyków, nie dochodzących do progu istotnego piękna, a pukających do przybytku sztuki rytmami tak nieudolnymi, że dziwić się trzeba nie raz, iż to ten sam autor pisze i tak i tak w jednej książeczce. Dalszemi cechami wspólnymi jest zwracanie się po motywy do greckich czasów, starożytnych bohaterów, do świata legend i ba-

śni ludowych, i w ogóle, częstsze patrzenie tych młodych w przeszłość, niż w przyszłość. Zdaje się, że nie zakładali oni sobie celu zdobywania dróg nowych, wytykania nowych gościńców, postępowania na przebój z doczesnym porządkiem rzeczy na świecie, a samo tworzenie poezji jest im dostateczną nagrodą za cierpienia przebyte, i celem, mającym w sobie urok wabiący do pracy. W ogóle też te książki wyglądają tak, jakby były więcej pisane na pamiątkę dla siebie, niż dla ludzi, jakby były rodzajem pamiętników poetycznej młodości, niż pracą na niwie literackiej. Dla tego też może autorowie umieścili w nich wszystko, co z pod pióra ich wyszło, nie licząc się z wyborem rzeczy, z przyszłym zetknięciem się z krytyką. Nie powiem jednak, aby ta naiwność w podawaniu całości swego wierszowanego dorobku nie robiła w pewnym stopniu ujmującego wrażenia ogromnej ufności w sądy świata i nie rozbrajała tego sądu w bardzo dużym stopniu. Dla tego też nie myślę tutaj bynajmniej wytykać licznych usterek i błędów formy i błahości treści wielu z tych wierszy, lecz przeciwnie wolę w każdym z tych tomów wykazać to, co w nich jest najlepsze, a pomijając wiersze, podnieść same tylko istotne poezje.

I tak: p. Józef Stanisław Wierzbicki wydał tom p. t. „O brzasku“ (1898. Filipowicz Mińsk) W książce tej jest cykl cały „O brzasku,“ jest cykl „Legenda o poezji,“ są „Pyłki,“ „Elegie,“ „Na łonie natury,“ „Echa jesienne,“ „Z dziedziny prawd,“ „Z teki fakira,“ „Pod niebem grekiem,“ „Duch i morze,“ „Z krainy wrażeń,“ „Król Elfów,“ ogółem sto kilkadziesiąt utworów rymowanych! Wśród tej fali jest kilka przeszłych, rzewnych poezji. Do takich należą: „Sąsiadka,“ biedna staruszka, która straciła dwoje dzieci i wybiera się do nich w dalekie światy, wybiera długo, bo życie się wlecze, aż raz —

„Jesień nadeszła, ni słońca, ni kwiatka!
„Pusto w domostwie, śnieg srebrzy się kołem...
„W izbie nie ślipa nad igłą sąsiadka...
„Poszła do dzieci—daleko... szepnąłem.“

Albo ten: „Pogrzeb;“ nie ma tu powiedzianego, kto i jak umarł, ani nie ma opisu pogrzebu, tylko pozostał pokój, gdzie stała trumienka, i czuje się, że to umarło dziecko. Ogromna, rozdzierająca żalność panuje dookoła:

„W środku niby dla motylka
„Podściółeczka stoi mała,
„U wezłowania krzyż i kilka
„Zapomnianych świeczek pała...“

Wiatr okienkiem wpada, przerzuca karty książek z obrazkami, szeleści malutką sukienką, wstążką rzuconą na kanapę, a lalka ze spojrzeniem pełnym troski patrzy głucho i niemo w ziemię, a piesek mały wietrzy koło szatek dziecka, zawyje i leci do drzwi zamkniętych i słucha...

„A zdaleka słycać dzwony—
Brzmią w powietrzu jakby łkanie...“

Poeta nie wymówił ani razu tego słowa—dziecko, tego słowa — pogrzeb, a jednak czytelnik czuje, że to ukochane małeństwo odeszło na skrzydłach cieni i nie wróci do tych zabawek, i że to była—dziewczynka. A tam gdzieś ulicami ciągnie pogrzeb — w wierszu jednak dźwięczą tylko dzwony. To jest prawdziwa—poezja.

Bardzo też ładne są „Teby,“ „Pieśń“ wstrzymująca jadącego do domu trubadura Bertranda de Borne, „Smierć,“ „Schadzka,“ „Natchnienie“ i niemal te wszystkie, w których autor nie domawia treści, a że to czyni nader zręcznie, właściwość ta staje się dodatnią i charakterystyczną u niego cechą.

P. Józef Rydecki w zbiorze swoich „Poezji,“ (1898, Warszawa, St. S. Zaleski), pomieścił też kilka cykli: „W oparach myśli,“ „O niej i dla niej,“ „Dyalogi,“ „Piołuny,“ „Z dramatów życia,“ w których tu i tam jest wiersz niezły, z zacięciem werwy, śmiały i dosadny, jak: „Nie pragnę!“ „Kocham cię,“ „Flirt,“ „Wykolejona,“ „Precz z dewizą!“ Autor jednak nie przebiera

w słowach, tnie za szorstko jak na ramy liryczne, a choć mówi wręcz dobrą prawdę, to ta prawda zamiast uderzać jak światło lub zgrzytać oburzeniem, trzaska i pali z bata trochę zawadzacko, a brawura przechodzi w awanturę. A jednak p. Rydecki umie delikatniej czuć i subtelniej się wyrażać, czego dowodzi taka np. miękka piosnka jak „Pamiętam...“ w której jest i serce i tęsknota:

„I to milczenie, które wszechwładnie
„Mowę odfrąca
„A które tylko dusza odgadnie
„Bardzo cierpiąca...“

Na takie jednak rzeczy jak „Halka,“ słaba parafraza libretta Wolskiego, lub „Łowy“ parafraza „Czatów“ Mickiewicza, szkoda talentu poety, który ma i samorodne natchnienie i swoje własne wyznanie wiary społecznej i uczuciowej, i najlepiej jak tworzyć będzie bez żadnego modelu, unikając tym sposobem naśladownictwa, a rozwijając lepiej samego siebie.

Pan Witold Łaszczyński duży tom swych „Poezji“ (Warszawa, 1899. Fiszer) zaczyna wierszem, w którym czytamy:

„Na potrzaskanej lutni gram
„I nowych strun nie wiązę—
„O dawnych śpiewam dziejach wam,
„Ja pieśni nowych książę!“

Jak można, nie wiążąc „nowych strun“ być książęciem „nowych pieśni,“ to już jest tajemnicą pana Witolda Łaszczyńskiego, jak i ta zagadkowa logika, która każe na froncie książki umieszczać „Ode do pełnoletności,“ — wiersz, w którym piękno i artyzm daleko jeszcze stoją od dojrzałości talentu. i taki wiersz poprzedzać historią, jaką przebył obnoszony po redakcyjach z „dodatkiem“ naiwnych objaśnień tych fatalnych losów, jakie spotkały ową ode. Powiedzmy od razu to, co można najlepszego powiedzieć o tym tomie „Poezji,“ w którym jest stanowczo zawiele wierszyków: Utwory p. t. „Pierwszy szron,“ „Dwie mogiły,“ „Dopary,“ „Z mego okna,“ „Do Dalili,“ „Stara Warszawa,“ „Kołysanka,“ „Pieśń słowika,“ „Zały,“ „Do dziecięcia,“ „Przyjaźń czy miłość,“ są bardzo ładne i w treści i w formie, czy powstałe w chwili istotnego wzruszenia, czy więcej opracowane, wyszły jednak z pod pióra autora, jako liryki udatne, bez omyłek w rytmie lub rymie, i bez śmieszności w treści jak np. owa „miłość,“ która miewa tyle „zachodu“ i krętaniny około swych zgryzot i te wciąż powtarzane: „ustka,“ „wisienki,“ „próżne marzenia,“ „złote włosy“ i „zimne groty.“ Poeta bawi się całym tym odwiecznym rymostwem, jak pacholę, które się zakradło do zbrojowni i przebiera w orężach, tarczach, rzędach i lubuje się ich brzękiem i blaskiem, aleby się w to wszystko nie umiało jeszcze przybrać wygodnie, a tem bardziej w tem wszystkim iść na wielki bój. Ale to pacholę lubi te rymostunki, co go do nich ciągnie, wabi, czaruje, to są jego wspomnienia rodzinne i jego dzieciństwo ojcowskie, do którego ma prawo. I pan W. Łaszczyński należy do licznej i bujnej rodziny poetów, czuje w sobie pewnie dziedziczną iskrę natchnienia, która go wiąże czarem z niestygnącą tradycją pieśni, więc skrzydła swe wyteża i próbuje lotu; że nie wzlata od razu, wysoko i z równowagą, to nie dziw, bo młody bardzo jeszcze, ale gdy popracuje, gdy sam siebie osądzi z istotną „dojrzałością,“ to niewątpliwie niejedną da ludziom i piękną i zupełnie „nową“ pieśń, której nigdy nie ma na świecie za wiele.

Szczęśna.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— P. Marya Milkuszyo, znana autorka kilku dużych powieści i licznych udatnych nowelek, wydała tom zbiorowych drobniejszych swych utworów pod wspólną nazwą: „Kwiaty i ciernie życia.“ (Warszawa. Dubowski. 1899.) Są tu „Fijolki,“ „Konwalia,“ „Narcyzy,“ „Kamelia“ i inne kwiaty, wplecione w życie człowieka urokiem lekkiej woni marzeń i chwil, w których kwitnie szczęście, ale są i ciernie, takie ostre, głębokie, prawdziwe ciernie ludzkiego żywota, jakie odczuła autorka w prześlicznej dramatycznej nowelce „Drewniane dziecko.“ W osnowę znaną już pod słońcem jako nienową, w opowiadanie proste i niewymuszone, wlała zawsze nową, a bardzo zręcznie przeprowadzoną tragedję serca dwóch kobiet, matki, która kocha z zaślepieniem syna i młodej dziewczyny, która kocha z zaślepieniem narzeczonego; ten syn i narzeczonny—to egoista zimny, który swą płytką duszą nie rozumie nawet głębi popełnionej zbrodni łamania dwóch serc szlachetnych i ufnych w potęgę swych uczuć. Autorka śmiało i otwarcie wypowiada wojnę złemu, nazywarzeczy po imieniu i umie ściśle rozróżnić pojęcie złego i dobrego, bez usprawiedliwień i modyfikowania zdrożności ludzkich. Bardzo serdecznie powinszować wypada p. Milkuszyo tej nowelli i całego niniejszego zbiorku i polecić nową tę książkę naszym czytelnikom.

— Pani J. von Wedell wydała w Stuttgardzie u Levy'ego parę nowych dziełek, omawiających zagadnienia pedagogiczne „Matka i dziecię“ (czyli lexikon pokoju dziecięcego), ma służyć jako wyczerpujący podręcznik dla matek, pielęgnujących starannie niemowlęta. Treści tu dobrej bardzo dużo, tylko układ niefortunny, alfabetyczny, powoduje mieszaninę przedmiotów, i rady dotyczące ducha szeregują się tym sposobem czystego wypadku tuż obok przepisów higieny całkiem prozaicznych, np. o ubraniu noworodka mówi się zaraz po kształceniu złych zachcianek, a sprawa karmienia stoi tuż przy pracy dziecka, jako ważnym czynnikiem wychowawczym. Powstaje tu pewien chaos w orientowaniu się w dziełku bardzo dobrem, praktycznym, zkad inąd systematycznym i godnym polecenia. Drugą nowością literacką doświadczonej autorki jest bardzo wdzięczna książeczka, poświęcona młodym paniom: „My młode dziewczyny.“ Mówi się w niej o obowiązkach w domu rodziców, na pensyi, o kształceniu się samodzielnem, o pracy, porządku, oszczędności, o zdrowiu i piękności, o towarzyskich formach, o zabawie, korespondencyi, czytaniu, ręcznych robotach, o narzeczonem, o starych pannach, o wyborze fachowego zajęcia, o bezwarunkowej konieczności pracy i rozumieniu obowiązków ludzkich na świecie. Śliczna książka, z małemi odcieniami, zastosowaniami do naszych społecznych stosunków, stałaby się pożytecznym dziełkiem, gdyby znalazła tłumacza, bo takich rzeczy mamy niewiele. A jeszcze lepiej, gdyby która z pań naszych, zajmujących się pedagogią, napisała taką książeczkę dla polskich pańienek.

MYŚLI.

Jakoście tedy przyjęli Jezusa Chrystusa Pana, w nim chodźcie. Wkorzeni i wybudowani w nim, i umocnieni wiarą, jakoście się też nauczyli, obfitując w nim w dziękczynieniu.

Św. Paweł. List do Kol. II. 6. 7.

Żalem zdjęty jest Pan nad ziemią swoją, a przepuścił ludowi swemu. I odpowiedział Pan i rzekł ludowi swemu: Oto ja pošę wam pszenicę i wino, i oliwę, i nasycicie się nimi; a nie dam was więcej pośmiewiskiem między narody. Nie bój się ziemio, raduj, a wesel.

Joel. II. 18. 19. 21.

Kto strzeże sprawiedliwości, obejmie zrozumienie jej.

Ekkles. XXI. 12.

Nie będzie nauczony, który nie jest mądry w dobrem.

Ekkles. XXI. 14.

Synu, jeśliś zgrzeszył, nie przydawaj drugi raz, ale i za dawne proś abyć były odpuszczone. Uciekaj przed grzechy jako przed wężem: a jeśli się do nich przystąpisz ukąszą cię. Zęby lwie, zęby ich, zabijające duszę człowiecze. Wszelki grzech jest jako miecz z obu stron siekący, ranie jego nie masz uleczenia. Kto nienawidzi karnia, znak jest złośliwego: a kto się Boga boi, nawróci się do serca swego.

Ekkles. XXI. 1. 2. 3. 4. 7.

Człowiek święty w mądrości trwa jako słońce, bo głupi odmienia się jako księżyc.

Ekkles. XXVII. 12.

Nie masz głowy gorszej nad głowę węzową: i nie masz gniewu nad gniew niewieści. Zapłakał mąż jej, a usłyszawszy westchnął.

Ekkles. XXVII. 22. 28.

Serce poniżone i twarz smutna, i rana serdeczna—zła niewiasta.

Ekkles. XXVII. 31.

Niewiasty dobrej błogosławiony mąż: bo liczba lat jego dwojaka.

Niewiasta mocna powesela męża swego, i lata żywota jego w pokoju wypełni.

Dobry dział żona dobra, w dziele bojących się Boga, będzie dana mężowi za uczynki dobre.

Jako słońce wschodzące świata na wysokości Bożej: tak piękność dobrej żony ku ochędostwu domu jej.

Świeca świecąca w lichtarzu świętym, a piękność twarzy w lecjach statecznych.

Fundamenty wieczne na skale mocnej, a przykazanie Boże w sercu niewiasty świętej.

Ekkles. XXVI. 1. 2. 3. 21. 22. 24.

Prawda wróci do tych, którzy ją czynią.

Ekkles. XXVI. 10.

Zamknij jałmużnę w sercu ubogiego, A ta cię wyprosi odewszego złego.

Ekkles. XXIX. 15. 16.

— Redakcyja „Jednodniówki“ na rzecz Warszawskiej Kasy Przezorności i Pomocy dla Literatów i Dziennikarzy p. t. „Grosz do grosza,“ uprasza niniejszem wszystkich polskich literatów i dziennikarzy, oraz artystów-malarzy, o przyjęcie udziału w tej „Jednodniówce.“

Utwory nadsyłane mogą być wszelkiego rodzaju i treści, prozą lub wierszem. Rozmiary utworów niewielkie, jak zwykle do podobnego rodzaju wydawnictw.

Rysunki (do wytrawienia) mogą być wykonane piórkiem, tuszem, akwafortą lub kredką.

Rękopisma i rysunki upraszamy nadsyłać do redakcyi „Muchy“ w Warszawie, Wierzbowa 8, lub do księgarni Jana Fiszera w Warszawie, Nowy-Świat 9, z uwagą na kopercie „dla Jednodniówki.“

Termin ostateczny przyjmowania materyałów do „Jednodniówki“ upłynie z dniem 15 kwietnia r. b.

Hasłem tego wydawnictwa jest: „Pomagaj sobie, Bóg ci dopomoże,“ sądzymy więc, iż w imię tych głębokich słów, wszyscy polscy pisarze i artyści-malarze zasila swą pracą „Jednodniówkę,“ z której zysk czysty przypadnie w udziale naszej Kasie Literackiej:

Włodzimierz Płaskowski.
Franciszek Kostrzewski.
Maryan Gawalewicz.
Władysław Buchner.
Franciszek Reinstein.

Warszawa, d. 14 marca 1899 r.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: ark. 11-ty powieści, p. t. *Adolf Ribbing*, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. Tom II-gi.

Treść: We mnie jest moc płomieni, przez Leona Płoszowskiego. — Kobieta-inżynier w XVII-ym wieku, przez M. Świdorską. — Postacie niewieście w poezjach L. Kondratowicza. Studium psychologiczno-etyczne, przez Stanisława Ostrowskiego (dokończenie). — Kaziemierz Gliński. Krzywda. Powieść (dalszy ciąg). — Najnowsze poezye, przez Szczęsną. — Kronika działalności kobiecej. — Myśli.

Dodatek obejmuje: *Adolf Ribbing*, powieść, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. arkusz 11-ty. Tom II-gi. — Przegląd mód. 21 wzorów i robót z opisem. — Sekretarza gospodarskie. — Dyspozycya obiadu.



Nr 1. Eleganckie ubranie wiosenne, przybrane frendzlą.

Serwetka z haftowanym szlakiem.

Rycina Nr 18 w Bl. Nr 13. (Deseń pierwsza strona tablicy fig. 51).

Tło stanowi żółtawo-złocista jedwabna materya. Materyałem użytym do haftu jest jedwab filofloss w dwóch cieniach zielonych, w dwóch cieniach miedzi, w dwóch niebieskich, w dwóch ciemno-brązowych, z dodaniem koloru czarnego. Deseń podług fig. 51, należy przenieść na materyał i kolory w ten sposób rozdzielić, żeby zielone wypadały na liście, brązowy na łodygi, inne zaś na kwiaty. Czarny kolor stanowi konieczne dopełnienie przy głębszych cieniach, albo przy oznaczeniu środka kwiatów. Dla ożywienia można dodać trochę złotej nitki. Serwetka przez nas wskazana wymiar ma 50 centim. w kwadrat, łatwo jednak powiększoną być może przez dodanie szlaku z pluszu, lub odpowiedniej kolorem materyi. Taż sama serwetka może wypaść o wiele mniej kosztownie, jeśli zamiast jedwabnej materyi użyjemy angielskiego płótna, a zaś w miejsce filoflossu, lśniącej bawełny do prania.

Serwetka na meble, ozdobiona haftem i robotą point-lace.

Rycina Nr 19 w Bl. Nr 13.

Bardzo piękny szlak, robotą point-lace, okala serwetkę z płótna specjalnego do haftu, która nadto zahaftowana jest rzucaniami, pojedynczymi kwiatami konieczyny. Szlak podług fig. 99 przerysowuje się na kalkę, tę przyfastrygowuje się do płótna i przedewszystkiem naszywa się point-lace tasiemeczką. Figury deseni, jak zawsze przy takich robotach, łączy się ściągami, używanymi przy wykonaniu koronek. Baczyć zawsze należy, aby w miejscach, gdzie tasiemeczka zostaje przeciętą, zakończenia były wykonane mocno i starannie. Kwiatki konieczyny haftowane płaskim ściągami kolorową bawełną do prania, można narysować w dowolnej ilości i w dowolnym układzie. Dla ułatwienia roboty można je wyciąć z jakiego kretonu do prania, zaaplikować na płótnie, a następnie przykryć płaskim ściągami. Kolory najodpowiedniejsze, prócz zielonego na liście, brudno-różowy i lila.

Eleganckie ubranie wiosenne, przybrane frendzlą.

Rycina Nr 1.

Biała, wązka frendzla, zakończona tasiemką zieloną, stanowi przybranie sukni z wełnianego materyału w paski czerwone, zielone i białe. Gładka spódnica, przykryta jest tiuniką, z przodu otwartą, oszytą trzykrotnie frendzelką. Bluzkowy stanik, z wyłogami pokrytymi frendzelką, otwiera się na koszulkowym przodzie z białej, jedwabnej gazy, wszytym w stojący kołnierzyk, spięty krawatką. Rękawy przy rękę i przy ramieniu, przybrane są frendzelką.

Modne kapelusze: wiosenny i letni.

Rycina Nr 3 i 4.

Zgrabny kapelusz ryc. 3, stosowny też i dla starszych osób, ma główkę z gładkiej, białej, jedwabnej pletni, otoczoną ma rondkiem z czarnej, fantazyjnej słomy. Przybranie stanowi upięty, gipiurowy, biały szalik, przytrzymany symetrycznie dwiema złotymi szpilkami, oraz dwa pióra fantazyjne, białe z czarnem, przypięte ku tyłowi, po obu stronach.

Wysoko podniesione, wokół podwinięte rondo, czyni kapelusz ryc. Nr 4, odpowiednim dla osób młodych. Fantazyjna słoma, z której kapelusz jest uszyty, pokrytą jest stalowymi pailletkami. Duży pęk jaśminu, pomieszanego z ciemnymi liśćmi, przytrzymuje z przodu rondo. Za kwiatami przypięte są dwa lśniące pióra. Czarna, jedwabna gaza, udrapowana wokół główki, dopełnia przybrania.

Ubranie wiosenne z tiuniką z wełnianego materyału w pasy.

Rycina Nr 5. (Krój i piecy odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 64—73).

Materyał: wełna w pasy białe i niebieskie, przybranie: niebieski taffetas, ciemniejszy nieco atlas, białe sukno, złoczone guziki i złoty sutasz. Spódnice



Nr 2. Ubranie wiosenne z tiuniką.

(Krój i opis pierw. str. tablicy Nr I, fig. 1—7, rysunek pleców odwr. str. tabl.)

z falbaną, krajaną poprzecznie, przykrywa tiunika z przodu i z tyłu wycięta w ząb, na bokach krótka i podszyta przy brzegu atlasową wypustką. Także sama wypustka wykończa wszystkie brzegi bluzkowego stanika. Stanik spięty środkiem, otwiera się w górze i poniżej spięcia na kamizelce z drobno plisowanej niebieskiej materyi taffetas, brzegi kamizelki zakończy biała sukienna pliska, na której naszyty jest rząd złoczystych guzików.

Wiosenne ubranie z odmiennym paltocikowym stanikiem, oraz okrągły bastowy kapelusz.

Rycina Nr 6.

Zestawienie ciemno-brązowego i jasno beige materyału covert-coat, bardzo gustowny tworzy kostium. Spódnica z materyału brązowego na szwach przednich i po nad zębato wyciętą falbaną, wykończona jest przystębnowanymi pliskami. Krótki paltocikowy staniczek koloru beige, na jedwabnej jasnej podszewce, przybrany jedynie stebnowką, przody z podwójnymi wyłogami ma zrobione w ten sposób, że wyłóg od spodu tworzy jednocześnie przód bolera. Duża kokarda z białej jedwabnej gazy wypełnia otwarcie przy szyi. Wązkie, długo na ręce schodzące rękawy, wykończone są tak samo, jak staniczek stebnowką.

Bardzo dobrze dobranym do kostiumu jest kapelusz z bastu beige, którego przybranie stanowią: sute spięcie z wstążki tegoż samego koloru, duża, złożona klamra i pęk parmeńskich fiołków.



Nr 5. Ubranie wiosenne z tiuniką z wełnianego materyału w pasy. (Krój i plecy odwr. str. tablicy Nr IX, fig. 64—73).

Nr 6. Wiosenne ubranie z odmiennym paltocikowym stanikiem, oraz okrągły bastowy kapelusz.

Nr 7. Wiosenna peleryna dla osoby w średnim wieku (Zmniejszona forma i deseń pierw. str. tablicy Nr XV, fig. 111—113).

Wiosenna peleryna dla osoby w średnim wieku.

Rycina Nr 7. (Forma zmniejszona i deseń pierw. str. tabl. Nr XV, fig. 111—113).

Niezbyt długa pelerynka z czarnego sukna, wycięta wokoło w zęby, oszyta jest przy brzegu szlaczkiem w ząbki. W małym odstępnie od szlaczku ciągnie się gładka plecionka, która przy każdym zębacie tworzy figury, wskazane na fig. 113. Wyżej peleryna przybrana jest naszyciem ze szlaczku i gładkiej plecioneczki. Szeroka, plisowana falbana z taffetas, naszyta gazowymi wstążeczkami, przybiera dół peleryny, przody i kołnierz, podwiązany atlasową wstążką.

Suknia wiosenna formą princesse, dla starszej osoby.

Rycina Nr 8. (Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 53—63).

Przody pięknego tego ubrania z sukienki w kolorze heliotrop, otwarte są i wykończone w rodzaju krótkiego kaftanika. Przód wypełnia spódnica, wysoko od dołu przybrana aplikacją z aksamitu w ciemniejszym odcieniu, przytrzymana w stanie aksamitnym paskiem, oraz plisowana bluzka z taffetas, wszyta w karczerek, pokryty takąż, jak dół spódnicy aplikacją. Aplikacja przybiera również kołnierz i rękawy w górze. Brzeg przodów i dół sukni wokoło wykończy kilkorazowa stebnowka.



Nr 3 i 4. Modne kapelusze wiosenny i letni.

Kostium wiosenny z wełnego bareżu w kratę.

Rycina 4.

Suknia ze srebrno-szarego bareżu w niebieskate, efektownie wygląda przybrana karczkiem z białej jedwabnej materyi, pokrytej kolorem haftem. Zębato wycięcie bluzki wokoło karczka, oraz także wycięcie spódnicy po nad nią, obwiedzione jest pliską z białej materyi, brzeg zaś pliski wykończy niebieska jedwabna wstążka, na której niebieskim jedwabem wyhaftowane są punkty. Na pasek użyta jest niebieska materya. Okrągły kapelusz ze słomki niebieskiej, nieco ciemniejszej, aniżeli materya przmi, przybrany jest atlasową wstążką i mieniącymi się, fantazyjnymi piórami.

Kostium z pikiem.

Rycina 0.

Kostium z szarego jasnego sukienka, składa się ze spódnicy z falbaną, ciągnącą się od przodu, a w górze zakończoną stebnowką i z paltką, otwartego z przodu. Baskina u paltocika zaokrąglona z boków, wydłuża się nieco ku tyłowi. Przody spinają patki z tegoż samego materyału, przytrzymane kryształowymi guzikami. Odpowiedniejszą do tego kostiumu jest bluzka z białej piki, która na dni chłodniejsze może bystąpiona białą sukienką. Duży krawat z jedwabnej gazy przystraja kostium. Mały kapelusz z szarej słomki, przykryty jest w całości tiolkami.

Wiosenna peleryna z kamieniem, oraz kapelusz.

Rycina Nr 11. (Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 8—12).

Peleryna z sukna w kolorze „beige”, włożona na jasnej, jedwabnej podszewce, wszyta jest w karczerek, połączony z szalowym, otwartym kołnierzem. Suta, koronkowa kryza, wypełnia kołnierz i w kształcie żaboty schodzi do dołu przodów. Pelerynę spina przy kołnierzu patka, poniżej duży fantazyjny guzik.

Wiosenna peleryna z kapeluszem.

Rycina 2.

Nieduża i zręczna tę pelerynę, łatwo zastąpić można do kostiumu, zachowując jako przybranie nisko schodzący, zębato karczerek z gipsu, oraz także pokrycie kołnierzyka



Nr 11. Wiosenna peleryna z karczkiem, oraz kapelusz. (Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 8—12).

Nr 12. Wiosenna peleryna, oraz kapelusz.

Nr 13. Paltocik, przybrany haftem. (Krój i opis pierw. strona tabl. Nr III, fig. 13—19).

Medicis. Zapięcie na haftki przykrywają trzy małe patki, przytrzymane kryształowymi guziczkami. Przybranie okrągłego, czarnego kapelusza, stanowią duże, strusie pióra, spięte z przodu fantazyjną agrafą.

Haftowana saszetka na rękawiczki, chusteczki i t. p.

Rycina Nr 16. (Deseń odwrotna strona tablicy fig. 115).

Kawałek zielonego, jedwabnego rypsu, 43 ctm. dług. i 46 ctm. szerok., składa się na połowę i na jednej stronie wyszywa się deseń podług fig. 115, białym, lśniącym jedwabiem. Jedne figury deseni wyszywają się atlaskiem, drugie—ściegiem podłużnym, inne jeszcze—fantazyjnym, dowolnym. Saszetki podwatowana lekko, podszyta jest białą materyą. Do wiązania służą rypsove wstążki.

Serwetka na stolik salonowy, ozdobiona płaskim haftem.

Rycina Nr 15 i 16. (Deseń pierwsza strona tabl. fig. 52).

Oryginalna rysunkiem serwetka, odznacza się także pięknym nadzwyczaj doбором barw. Haft ścięciem łatwym, płaskim, wykonany jest na kawałku złotawej, jedwabnej, gazowej kanwy (54 centim. w kwadrat). Kwiaty w rodzaju fantazyjnych lilij, na czterech rogach serwetki, wyszyte są kolorami lila do cieniu, z domieszką złota. Figury, imitujące wstążeczkę, w rogach: brązowym i terrakotta. Ściegi zaś, zapleśniające figury w rogach, wyszyte są grubym jedwabiem crème. Brzeg serwetki zakończy krótka, złota frendzelka.



Nr 8. Suknia wiosenna formą princesse, dla starszej osoby. (Krój odwr. str. tablicy Nr VIII, fig. 53—63).

Nr 9. Kostium wiosenny z wełnianego bareżu w kratę.

Nr 10. Kostium z paltocikiem.

Wieszadło do ręcznika, ozdobione łatwym haftem.

Rycina Nr 17 i 18. (Deseń odwr. strona tablicy fig. 114).

Wieszadło z orzechowego drzewa, 50 ctm. dług., 36 ctm. wysokie, służy za ramkę do haftu, wykonanego na suknie w kolorze brudno-czerwonym. Deseń, podług fig. 114, przenosi się na cienką kalkę, przyfastrygowywa tę do sukna i wyszywa po niej figury ścięciem płaskim, łatwym, bez podkładania. Kolory: żółty i niebieski do cieniu najefektowniej wyglądają. Dla ożywienia można dodać trochę złotej nitki.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

LEGUMINA MROŻONA.

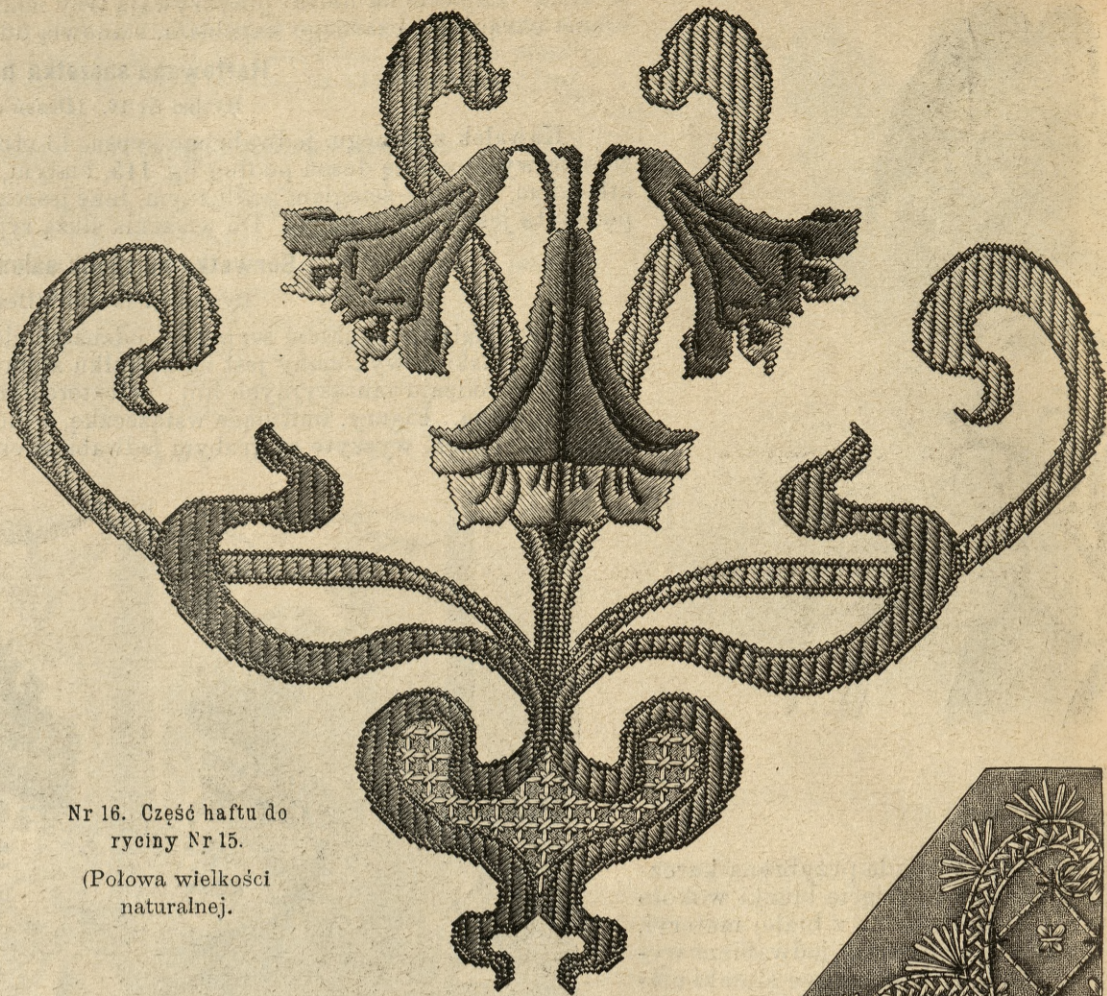
Sześć żółtek ubitych z cukrem (pół funt. lub mniej, jak kto lubi), zaparzyć pół kwartą słodkiej śmietanki. Osobno pół kwarty dobrej śmietanki ubić na lodzie na pianę, następnie razem zmieszać z przestudzoną żółtkami i dodać, co kto lubi, lub ma, orzechy włoskie, truskawki, albo jakie bakalie, ułożone w formie i zamrozić na lodzie najmniej na trzy godziny.



Nr 14. Haftowana saszetka na rękawiczki, chusteczki etc.
(Deseń odwrotna strona tablicy fig. 115).



Nr 17. Wieszadło na ręcznik, ozdobione łatwym haftem.
(Deseń odwrotna strona tablicy fig. 114).



Nr 16. Część haftu do ryciny Nr 15.
(Połowa wielkości naturalnej).



Nr 15. Serwetka na stół salonowy, haftowana płaskim ścięgiem,
(Deseń pierwsza strona tablicy fig. 52).



Nr 19. Nr 20. Nr 21.
Nr 19—21. Modne staniki, przybrane pa-manterya



Nr 18. Część haftu do ryciny Nr 17.
($\frac{2}{3}$ wielkości naturalnej).

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa pomidoro-wa z ryżem.
2. Paszteciki w kruchem cieście.
3. Mostek ciepły nadziewany w rumianym sosie.
4. Ozór peklowany z groszkiem.
5. Kapłony z kompotem z wisien.
6. Krem z konfiturami.

Główny Skład Zakładów Żyrardowskich

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr 55,
otrzymał na sezon wiosenny i letni:

Płócienka, Satynki, Batysty, Dryliszki na ubrania męskie, dziecinne i liberyjne,
Zefiry, Kretony, Firanki, Dywany, Portyery, Materyały meblowe.

Gotowa bielizna męska i damska.

Gotowe wyprawy od 100 rubli.

PRÓBY I CENNIKI ODWROTNA POCZTA FRANCO.

Pończochy
i
skarpetki
czarne
i fantazyjne.

UWAGA. Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w tym i w przyszłym numerze „Bluszczu“ podać się mające.